

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ

MARJA ŚWIDERSKA



**ZE WSPOMNIEŃ
MAŁEJ
KRZEMIĘNCZANKI**

KRAKÓW 1928
NAKŁADEM TOW. SZKOŁY LUDOWEJ W KRAKOWIE
UL. ŚW. ANNY 5.

1132

**ZE WSPOMNIEŃ
MAŁEJ KRZEMIĘCZANKI**

MARJA ŚWIDERSKA
P I S M A
TOM I.



Marja Świdorska

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ

P 39
MARJA ŚWIDERSKA

**ZE WSPOMNIEŃ
MAŁEJ
KRZEMIEŃCZANKI**



NAKŁAD TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ
KRAKÓW, UL. ŚW. ANNY 5.

K-74/90



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0508920

OD WYDAWNICTWA.

Towarzystwo Szkoły Ludowej, przystępując do zbiorowego wydawnictwa powiastek dla młodzieży pióra Marji Świdorskiej chce spełnić cel podwójny. Oto te powiastki są dzisiaj drogocennym dokumentem historycznym. Pisane i drukowane w okresie najsroźszej cenzury rosyjskiej i najcięższego prześladowania Polskości w Warszawie, były nietylko zdrową i uszlachetniającą strawą duchową dla młodzieży — były ziarnem rzucanem w dusze, z którego miał zejść posiew wolności. Byłoby niewdzięcznością ze strony dzisiejszego, wolnego społeczeństwa, by zezwoliło utonąć w niepamięci tym szlachetnym i pełnym bohaterstwa wysiłkom.

Należy im się cześć! I cześć należy się również tym siewcom zdrowego ziarna, wśród których Marja Świdorska zajmuje poczesne miejsce.

Uczczenie więc zasłużonej pracownicy na niwie literackiej i pedagogicznej to drugi cel podjętego wydawnictwa Jej powieści dla młodzieży.

Marja z Bohowitynów Kozieradzkich Świdorska, ceniona literatka i nauczycielka, zmarła dnia 21 lipca 1926 r. w Tarnowie, przeżywszy lat 76.

„Marja Świdorska posiadała nadzwyczajną pamięć

i pierwszorzędny talent narracyjny. Młodość spędziła w Krzemieńcu, gdzie jako mała dziewczynka bawiła się na kolanach Pani Bęca, matki Juljusza Słowackiego i przez całe życie pozostała typową Polką kresową, uważając Wołyn i Podole za część integralną Polski. Gorący jej patriotyzm znalazł wyraz w gorliwej pracy nauczycielskiej i literackiej. Wydała szereg powieści i opowiadań dla młodzieży. Kochała ogromnie dzieci i umiała w nie wpoić zapal do nauki i miłość Ojczyzny. Był to jej wielki sekret pedagogiczny, który zachowała do śmierci. Żywość umysłu, dowcip, wysoka kultura i wszechstronne wykształcenie czyniły z tej małej staruszki najmilszą, pełną niezrównanej dystynkcji gawędziarkę. Żegnamy ze wzruszeniem tę ostatnią Krzemieńczankę, która w naszą współczesność wносиła dziwny entuzjizm „Ody do młodości“ i „Kordjana“, przyniesiony z czasów dalekich, które już tylko dla niej były współczesnością“. („Głos Narodu“ z dnia 25 lipca 1926).

„Znaną była w szerokich kołach Krakowa, oraz wśród ziemiaństwa Kongresówki, Litwy i Ukrainy, kędy wielu miała przyjaciół i krewnych. Poświęciwszy się z całym zapalem gorącej duszy pracy pedagogicznej, dzięki rozległej wiedzy i znajomości kilku obcych języków, bierze żywy udział w życiu umysłowym i literackim Krakowa w latach 1885—1914. Owocem Jej ukochania są książki: Opowiadania Historyczne, Garbusek i inne, szereg broszur oraz artykuły w „Bluszczu“, „Kronice Rodzinnej“ i inne. Najserdeczniejsze stosunki łączy ją z licznymi rodzinami we wszystkich

dzielnicach Polski, które co roku odwiedza, wszędzie siejąc dobre, czyste jak złoto ziarno miłości Ojczyzny, pracy dla niej, romantycznego zapalu i zajęcia się sprawami i ludźmi otaczającymi.

„W dobrych, pożytecznych, potrzebnych czynów była inicjatorką, wiedzą ci wszyscy, co z nią spędzali niezapomniane godziny na dyskusjach i opracowywaniu programów prac oświatowych lub społecznych. Niezapomniane pozostawiła wszędzie wrażenie gorejącego wiecznie uczucia dla rzeczy wielkich i szlachetnych. Była z tych, co obcowaniem swoim atmosferę domu, rodziny czy środowiska podnoszą entuzjazmem własnym, a oczy przyziemne kierują ku wyżynom“. („Kurjer Wileński“ z dnia 29 lipca 1926).

Te dwa głosy, wyjęte z prasy codziennej, jakie pojawiły się bezpośrednio po Jej śmierci na dwu różnych krańcach Rzeczypospolitej, niech starczą za charakterystykę autorki.

T. S. L.

WSTĘP.

Pamiętniczek niniejszy stał się już podwójnie historyczny, od chwili jego napisania i wydrukowania bowiem upłynęło już omal że dwa razy tyle czasu, co od opisywanych tam wydarzeń do chwili pierwszego wydania. Dzieciństwo „małej Krzemieńczanki“ to lata 1850—1860 — pamiętnik zaś wychodził w r. 1884 w „Wieczorach Rodzinnych“, piśmie dla młodzieży wydawanem wówczas w Warszawie pod redakcją M. J. Zaleskiej. Były to czasy najsroźszych prześladowań rosyjskich. Warszawa drżała pod rządami osławionego Apuchtina; cenzura moskiewska szalała poprostu, czepiając się ze szczególną zaciekłością wydawnictw przeznaczonych dla młodzieży; najniewinniejsze słowo skreślano jako „niebłagonadiożne“, jeżeli mogło przywieść na pamięć coś dotyczącego Polski lub wolności. Autorka pamiętniczka wiedziała o tem dobrze i starała się pisać tak, aby się cenzurze nie narazić. Mimoto w paru miejscach tekst skreślono, w jednym wypadku stał się on nawet zupełnie niezrozumiały. Te skreślenia cenzury i drobne uzupełnienia tekstu podano w przypisach u dołu na wieczną rzeczy pamiątkę, a także i dlatego, że czytelnicy ówczesni, nawet małoletni, tak byli przyzwyczajeni do „czytania między wierszami“, iż domy-

ślali się odrazu słowa „Sybir“, „powstanie“ itp. tam nawet, gdzie nie było do tego wyraźnej wskazówki. Dzisiejsze pokolenie, szczęśliwsze od tamtego — nie umie już tak czytać.

Dodano również kilka nazwisk i szczegółów biograficznych tam, gdzie dana osoba wymieniona została tylko pierwszą literą nazwiska. Autorka czyniła tak poczęści dlatego, że ludzie ci jeszcze żyli i mogli nie chcieć, aby wzmianki o nich ogłaszano drukiem, — poczęści zaś dlatego, że mogło to się stać naprawdę niebezpieczne, jeżeli nie dla samych tych osób, to dla ich rodzin, w owych czasach bowiem nikt nie mógł zgadnąć, do czego się rząd rosyjski przyczepi, i wymienienie czyjegoś nazwiska jako zacnego człowieka, a więc dobrego Polaka, — bo to się rozumiało samo przez się — mogło już ściągnąć nań prześladowanie.

Oprócz tego są w dwóch czy trzech miejscach drobne objaśnienia dodane przez ówczesną redakcję „Wieczorów Rodzinnych“.

I.

Dziecinne lata. — Krzemieniec. — Góra Bona i Czercza. —
Tarpejska i rynsztoki.

Każdemu i każdej z nas lata dziecinne przynoszą wiązanekę mniej lub więcej miłych wspomnień, a choćby nie wszystkie znów były tak bardzo zajmującymi dla obcych, jednak rozważając o tem lub owem, co się komu innemu wydarzyło, można się nauczyć niejednego dla siebie, zacząć uważniej patrzeć i badać lepiej to, co nas otacza. A przecież te nasze lata młode są bardzo ważne i nie darmo jeden z wieszczów powiada:

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały!...

Jeżeli moje lata dziecinne nie odznaczyły się żadnymi szczególnymi bardzo wypadkami, a ja sama nie zasłużyłam sobie pewno na to, żeby mądrzy ludzie zbierali o mnie wiadomości biograficzne, za to mam tę pociechę, że się urodziłam i wzrosłam w miejscu pięknem, sławnem i znanem każdemu, co kraj swój ceni. Urodziłam się w Krzemieńcu!

Zdarzyło mi się nieraz, zawsze ku wielkiemu me-

mu oburzeniu, wyjechawszy w inne strony, spotykać ludzi, którzy Krzemieniec z Kamieńcem mieszając, dziwne mi zadawali pytania. Dla bezpieczeństwa więc od razu uprzedzam, że ojczyzną moją jest ów Krzemieniec położony blisko austriackiej granicy, a tak ślicznie wśród okalających go gór rzucony, że nawet ludzie, którzy zwiedzali Szwajcarję i inne piękne miejscowości, zachwycali się naszym Krzemieńcem.

Gdybym umiała malować, dobrałabym barw rozmaitych i starałabym się odtworzyć mieścinę rodzinną moją tak, jak ją widzę teraz jeszcze, zdaleka, choć została za górami i lasami i... za latkami mojemu dziecinni. Ale Opatrzność odmówiła mi malarskiego talentu, drzeworyt nie oddałby dość wdzięcznie mego pięknego Krzemieńca, wolę więc opisać go wam o ile potrafię.

Jedźmy drogą, traktem pocztowym od strony granicy, więc od Radziwiłłowa (handlowego, żydowskiego miasteczka, niedaleko, a jednak i bardzo daleko, bo przez granicę, od Brodów leżącego), a znajdziemy się zanurzeni po osie w piasku szarawym a tak gęstym, że koła z szumem się wolno obracają, jak gdyby umyślnie po to, żeby się podróżny mógł dobrze przyjrzeć temu, co go otacza. Dotąd jeszcze do Krzemieńca żadna kolej nie dochodzi, więc po dawnemu jedzie się „laskiem i piaskiem“, jak mówi piosenka. I za piaskiem lasek — to Podleśce, gdzie wśród gaju kryją się futory z wybornymi owocami i pasieką a złocistym miodem w plastrach.

Oj! niejedną się tam odbyło majówkę, ale potem

o tem, bo zapomniałabym jeszcze powiedzieć o „Królewskim Moście“, przez który się do Podlesiec dojeżdża. To pamiątka królowej Bony, do której starostwo Krzemienieckie przed 350 laty należało, a królowa ta, choć nam wiele krzywdy zrobiła i sumy neapolitańskie z kraju uwiozła, jednak gospodarzyć umiała i oprócz selerów, marchewki i t. p. włoszczyzny, zostawiła na pamiątkę po sobie niejeden zameczek wymurowany lub wyporządzony, niejeden wzorowy folwark założyła.

W Krzemieńcu królowa ta jest wielką osobą, a chociaż wiemy już, że „królowa Bona umarła“, ale zapomnieć o niej nie możemy. Każdy się o tem przekona od razu, bo wjeżdżając w wąwóz za Podleściami widzi piękne, wyniosłe, lesiste lub kamieniami pokryte góry, ale ponad wszystkie wznosi się szczyt góry *Bony* z widocznymi dotąd zwaliskami zamku u wierzchołka. Obok niższa jej siostrzyca *Czercza*, niegdyś, za lat moich dziecięcych, ozdobiona białym kamiennym posągami Matki Boskiej, przy którym co sobota płonęły lampki, jak gwiazdki miastu przyświecając*), a na górze zostały tylko białe, a dziwnie miłą woń wydające gwoździki, których pęki całe przynosiliśmy nieraz do domu.

*) W rękopisie było: „...miastu przyświecając, *teraz posągu już niema*, a na górze itd...“. W rzeczywistości rzecz się miała tak: Po powstaniu 63 roku rząd rosyjski rozkazał zwalić posąg, nie znalazł się jednak nikt, ktoby się odważył podnieść rękę na tę świętość tak czczoną i poważaną. Naręszcie jeden żołnierz, znęcony obietnicą dobrej zapłaty, podjął się to uczynić. Rzeczywiście, w obecności władz rządowych, które przybyły na górę,

Oprócz dwóch najznakomitszych gór, inne, jak gdyby ręce sobie podając, wieńcem olbrzymim okalają kotlinkę, w której się tuli Krzemieniec. Jest i góra *Boża*, na której ogromne kamienie mają być zwaliskami klasztoru starożytnego zakonnicy, zwana także dziewicą; jest piękna, z jednej strony bujnym zarosła sadem góra *Krzyżowa*, gdzie u szczytu prosty drewniany krzyż zdaje się miastu błogosławić; jest nawet, tylko się nie śmiecie! *Tarpejska* skała wśród lesistych wzgórz ukryta i stromo-urwista, chociaż podobno żadnego zdrajcy z niej nie zrzucano.

I jak tu nie być dumną, że się w tak pięknym miejscu urodziło! W dodatku muszę powiedzieć, że przysłałam na świat niedługo jakoś po śmierci *Juljusza Słowackiego*, wielkiego poety, który także był Krzemieńczaninem i nieraz Krzemieniec w ślicznych wierszach swych wspomina. Matkę jego ukochaną, panią *Bécu*, rodzice moi znali dobrze, ja sama o niej zachowałam wprawdzie mgliste bardzo wspomnienie. Zawsze jednak w dzieciństwie mojem nasłuchiwałam się o za-

zarzucił sznur na szyję posągu i w ten sposób ściągnął go z postumentu. Też samej nocy jednak, czy też w parę dni później, żołnierz ów zachorował i umarł na cholera, mimo, że to nie był okres epidemji i nikt wówczas w mieście nie chorował. Wypadek ten zrobił ogromne wrażenie w Krzemieńcu i okolicy.

Autorka pamiętnika, wiedząc, że podobnych rzeczy pod cenzurą rosyjską drukować nie można, ograniczyła się tylko do wzmianki nic nie mówiącej: mimoto i te nawet słowa skreślono, gdy zaś autorka zawiadomiona o tem przez redakcję prosiła, by na miejsce brakujących słów wstawiono kropki — cenzor odmówił i temu żądaniu.

nych i sławnych ludziach i wczesnie wyrobiło się we mnie przekonanie, że lepiej być zacnym i sławnym, niż bogatym, świetnym lub pięknym.

Muszę się przyznać, że w Krzemieńcu były ulice brudne i tak źle brukowane, że nawet resorowym powozem jadąc skakało się z góry na dół, a zęby były w niebezpieczeństwie, zwłaszcza przy przejeżdżaniu rynsztoków, szeroko przecinających wpoprzek główną ulicę, zwaną też Szeroką, choć dotąd nie wiem dlaczego, bo dwa powozy z trudnością rozminąć się tam mogły.

Potem skręcało się koło kościoła, za mojej już pamięci zbudowanego, na prawo w błotnistą lub stosownie do pogody, pełną kurzawy uliczkę, stamtąd na stromy wzgórek, bo Krzemieniec, niby Rzym, ze siedm wzgórzy obejmował (jeżeli nie dwa razy tyle!) a na szczycie tego znów się skręcało — tym razem w bramę naszego dziedzińca.

II.

Dom nasz. — Śliweczki i przewinienie braciszka. — Biały kotek. — Choroby nasze. — Życie domowe.

Dom rodziców moich, piętrowy od strony porządnego brukowanego dziedzińca, zniżał się ku ogrodowi, do którego wchodziło się dużymi szklanymi drzwiami wprost z pokoju. A było tam dużo kwiatków, które mama najczęściej własną ręką zasadzała na tarasie przed oknami. Dalej za szpalerem malin ciągnęły się grządy z warzywem i szparagarnia, drugą zaś, największą część ogrodu zajmowały trawniki i drzewa owocowe, także w znacznej części ręką rodziców szczepione. A rosły one prędko w oczach moich, dom bowiem nabyty został, kiedy miałam lat cztery i małego braciszka.

Rozkoszne w nim pędziliśmy godziny, bawiąc się na dywanie śród trawy rozesyłanym, na huśtawce umyślnie dla nas z wielką ostrożnością zbudowanej, lub na kanapkach biało malowanych w altanie naturalnej, którą utworzyła, pochylając się jednym olbrzymim konarem ku ziemi, jabłoń ogromna. Tam nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo i zostawaliśmy we dwoje z braciszkiem czasem bez nadzoru nawet, chociaż wo-

góle troskliwa niezmiernie mama nie spuszczała nas z oka ani na chwilę.

Zresztą wychowani byliśmy tak, że nigdy kłamstwo najmniejsze nie splamiło ust naszych i mama z ufnością zupełną polegać mogła na tem, cośmy jej mówili. Pamiętam, że zwykle wyznaczano nam ilość mających się spożyć owoców, których było mnóstwo w ogrodzie, a ja nigdy nie przekroczyłam wymienionej przez mamę ilości wisienek lub śliwek; mały zaś braciszek mój Zygmunt przynosił mamie pestki od zjedzonych owoców, jako dowód swej akurataności.

Otóż razu jednego, nie mogąc się oprzeć pokusie, zjadł o dwie śliweczki więcej, niż mu było wolno i nie przyznał się do tego, aż dopiero wieczorem przed usnięciem z płaczem wyznał popełnioną winę.

— A gdzie pestki podziałeś? — spytała mama z powagą.

— Liknąłem — odpowiada mały Muńcio, wybuchając na nowo płaczem.

Śmieliśmy się wszyscy później z tego ukrycia dowodów winy, ale mama upomniała surowo małego synka, żeby nigdy i w niczem nie zawodził zaufania rodziców. I ja byłam mocno zgorzonna postępkiem braciszka, o sobie zaś wyznać mogę szczerze, że nigdy w życiu nie skłamała, chociaż zresztą niejedno sobie miałam do zarzucenia, szczególnie zaś popędliwość, której nieraz żałować musiałam.

Oboje z bratem byliśmy delikatnego bardzo zdrowia w dzieciństwie i często chorowaliśmy, a ja szczególnie byłam przedmiotem ciągłego niepokoju dla ojca,

który będąc lekarzem, przewidywał z trwogą nieopisaną wszelkie zło, mogące dzieci jego spotkać. Mama, sama wątła i bardzo słabowita, nie odstępowała nas jednak dniem ani nocą, a chociaż mieliśmy dom obszerny i służby dużo, nie powierzała nas nigdy żadnej bonie i sama nas uczyła. Ja, od kiedy mogę zapamiętać, uczyłam się dużo i z wielką ochotą, pomimo częstych bólów głowy, jakie cierpiałam. Czytać także namiętnie lubiłam i mnóstwo pożerałam książek polskich i francuskich, z których prawdę powiedziawszy nie wiele mi w pamięci zostało, gdyż ich za wiele i za prędko się nazytałam.

Oprócz książek, których w domu naszym pełno było, nie brakło też i innych rozrywek: mieliśmy konie z ulubionym furmanem Maksymem, krówkę, a piesków, kotów, królików bez liku. Były też kury, i indyki, i rozmaite chwilowe ulubieńce, jak np. kruk oswojony, zajaczki młode, sarenka, kanarki i rozmaite inne stworzenia. Niejedno też zmartwienie stąd pochodziło. Pierwszą wielką zgryzotą, jaką pamiętam, była okropna śmierć ślicznego białego kotka, którego zagryzła moja ulubienica także, jednolatka, czarna psina Żuczka, która, może zazdrością wiedziona. Płakałam po tym wypadku bez przerwy dzień cały, dostałam bólu głowy i gorączki, ku wielkiemu zaniepokojeniu ojca, a na Żuczkę patrzeć nie chciałam, chociaż ta co chwila zbliżała się łasząc do mnie, jak gdyby o przebaczenie prosić chciała. Może to i mała rzecz, ale wtedy była to dla mnie rozpacz, na którą pociechy znaleźć nie mogłam. Dlatego też zdaje mi się, iż lata dziecinne nie są

tak bardzo szczęśliwe, jak o nich mówią i piszą, bo i małe nieszczęście wystarczy do zakrwawienia małego serduszka; a drobny rozumek nie zdoła jeszcze dostarczyć pociechy w zmartwieniu. Dotąd żywo sobie przypominam śmierć białego kotka, równie jak kilka innych chwil pamiętnych z bardzo wczesnego dzieciństwa mego.

Z ważniejszych zmartwień wspomnieć tu jeszcze muszę ciężką chorobę braciszka, któremu się sformował wrzód za uchem i groził śmiercią, jeżeli go nie przezną, ojciec *) zaś nie mógł się w żaden sposób na tę operację zdecydować. Żle już było bardzo, kiedy ojca wezwano gdzieś daleko do chorego na wieś i mama, zostawszy samą, zdecydowała się na krok stanowczy, bo mimo wątpliwości zdrowia miała wiele męstwa i siły woli we wszystkim. Przyjechał dobry znajomy i przyjaciel rodziców, doktor N. *), Litwin, mama wzięła małego Muncia na kolana, a ja z przerażeniem stałam obok. Doktor wzruszony, bo sam miał dwoje dzieci ukochanych, przystąpił z nożykiem i nagle Muńcio krzyknął

*) Ojciec autorki, dr. Aleksander Bohowityn Kozieradzki, był uczniem uniwersytetu wileńskiego, skąd, nie dokończywszy narazie studjów, jako 16-letni chłopiec (studja uniwersyteckie rozpoczynano wówczas w znacznie młodszym wieku, jak to wiadomo z biografij Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego itp) zaciągnął się do powstania listopadowego w 1830 r. i potem został zesłany „w żołdactwo“ na Kaukaz. Tom jego pamiętników dotyczący właśnie tych wydarzeń został spalony w czasie drugiego powstania, w 1863 r. przez siostrę jego, wspomnianą w niniejszym pamiętniczku „ciocię Kamille“, z obawy, by się nie dostał w ręce Moskali i nie sprowadził w ten sposób jakich przesładowań. Rodzina nie mogła jej potem tego darować.

Pozostałe zeszyty pamiętników złożone są jako dar w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

*) Niemeksza, dziad znanego inżyniera.

i gwałtownie się rozplakał, a krew trysnęła daleko z rany. Ale wkrótce dziecko smacznie usnęło i niebezpieczeństwo minęło zupełnie, a biedna mama nasza wypoczęła po tyłu bezsennych nocach.

Za powrotem ojciec nie mógł się nacieszyć, że dziecko ocalone i słyszałam, jak powtarzał znajomym, że tylko bohaterstwu mamy Zygmus życie swe zawdzięcza. Nieraz jeszcze chorował ciężko i trwogą napełniał serca rodziców. I mnie się to nieraz zdarzało, dlatego może byliśmy nadzwyczajnie strzeżeni i pielęgnowani, w zimie zwłaszcza, tak, że ja ze wstydem przyznać się muszę, iż do lat dziesięciu nie stąpiłam nogą na śnieg. Zwykle otuloną w ciepłe futerko wynosił służący do sani, w których jeździliśmy często na spacer za miasto w dni pogodne. Wizyt zimową porą nie oddawaliśmy nigdy prawie, a mama, nie chcąc nas samych zostawiać, przesiadywała również ciągle w domu. Zabawek mieliśmy mnóstwo pięknych i kosztownych, książeczek pełno i gości też dużo bywało u rodziców moich, których ogólnie kochano i szanowano.

Ojciec, jako lekarz, zaskarbiał sobie wdzięczność u ludzi, a ta i na nas dzieci spływała, mogę też powiedzieć, iż wzrastałam w atmosferze miłości ludzkiej i pieczy. Mama zawsze zajęta, czyto gospodarstwem, które wzorowo chociaż cicho prowadziła, czy robotami, w których celowała, czy znów czytaniem zawsze ulubionem, nie zajmowała się drobnymi sprawami małego miasteczka, nie lubiła mówić o tem, co się u kogo dzieje i nas strzegła od wszelkich plotek i obmowy, broniąc rozmów ze służącymi z tego właśnie powodu.

III.

Goście nasi. — Dawne liceum i profesorowie. — Lalka, książki i pijawki.

U rodziców zbierało się najlepsze towarzystwo z miasteczka naszego, które wówczas miało wiele domów zacnych i odznaczających się wykształceniem i wytwornością. Zabytki to były owych czasów licealnych, o których się tyle nasłuchiwałam. Bo też w Liceum Krzemienieckiem kształcili się synowie obywatelstwa i najznakomitszych rodzin okolicznych. Profesorowie odznaczali się nauką i zacnością charakteru, między innymi uczyli tam: Feliński Alojzy, Euzebjusz Słowacki, Aleksander Mickiewicz (brat naszego ukochanego poety), słynny powieściopisarz Korzeniowski i wielu innych znakomitych ludzi; ale o tem wspominali wymowniej odemnie, np. Drzewiecki w swych pamiętnikach, Stary Detiuk (Andrzejowski) i inni; ja zaś mogę powiedzieć o tych tylko, których znałam w dzieciństwie.

Jednym z profesorów był wuj mamy, M. Choński, białowłose dziadunio, który nas czasem odwiedzał, a pęki jego rękopisów, z ekonomji politycznej podobno, leżały długi czas na górze w składzie. Dziadzio Choński bawił się ze mną malutką, ucząc przeskaki-

wać przez poduszki na środku pokoju pokładzone, do czego sam mi przykład dawał. Wogóle mówiono, że profesorowie liceum odznaczali się wielką dobrocią dla uczniów i po ojcowsku nimi się opiekowali. Między innymi urzędzeniami było takie, że każdy z młodzieży musiał korepetycje brać albo dawać, tym sposobem majątniejsi uboższym dostarczali sposobu utrzymania się, a wszyscy żyli między sobą w przyjaźni i koleżeństwie.

Bywał u rodziców również prof. historji, Uldyński, ale tego się obawiałam, gdyż był ciężko uczony i nie lubił dzieci, tak, że w obecności jego nie wolno było odezwać się nawet i tylko szeptem objawialiśmy mamie życzenia nasze przy stole. Dawni uczniowie jego mocno go szanowali i kochali, a kiedy umarł, sprawiono mu wspaniałą pogrzeb, na który się pojeżdżali obywatele z całej okolicy, a trumnę profesora swego dawnego nieśli na własnych ramionach.

Bywał też u nas pan Bonawentura Klemkowski, profesor rysunków i malarstwa, którego rozmaite dziwactwa pamiętam. Między innymi rzeczami zajmował się wiele barometrem i tak weni wierzył, że kiedy czasami deszcz padał ulewny, on przechadzał się z głową do góry podniesioną, twierdząc, że taki deszcz nie może, gdyż barometr wysoko stoi. W domku jego, otoczonym ogrodem i wysokim murem, miał być sławny nieporządek i opowiadano, że sam gospodarz, zamiast wody, wypił szklanekę oliwy do lamp, bo wszystko razem stało na stoliku. Kiedyś znów kazał sobie przynieść świeżą koszulę i zdziwił się, gdy jej nie mógł

znaleźć ulubiony sługa Kasper; po chwili dopiero okazało się, że profesor całą prawie bieliznę miał na sobie, bo przez roztargnienie zapominał zdejmować jedną gdy drugą wkładał. Tak przynajmniej opowiadali przyjaciele, którzy lubili z nim się przekomarzać.

Najmilszym przyjacielem pana Klembowskiego był pan Cyryl Sokołowski, także stary kawaler, bardzo figlarny i krotochwilny, oraz ksiądz dziekan, żywy i wesół, a przez nas dzieci wielce ulubiony, bo miał mnóstwo figlów i conceptów zawsze w pogotowiu. Pan Klembowski miał wielki talent malarski, ale się zaniedbał jakoś i z trudnością można było wyprosić u niego jaką robotę, a lekcji wcale dawać nie chciał.

Ojciec mój, który był niegdyś celującym uczniem Liceum, lubił wspominać z dawnymi profesorami o ubiegłych czasach. Zresztą wszyscy w Krzemieńcu mówili o tem z upodobaniem; nawet i żydzi, którzy dobrze pamiętali swawolnych paniczów, co im figle płatali, ale też i zarobić dawali niemało.

Uwijał się za mojej pamięci stary „Wek“ przez studentów tak z żydowska przewany od obwarzaneków, które sprzedawał; był też i niski a pękaty „Półkorzec“, którego prawdziwego nazwiska nikt nie wiedział. Ale najszanowniejszym był „Kelman“ antykwarjusz, którego skarby wertowałam nieraz z rozkoszą, wydobywając z leżących na ziemi stosów książek rozmaite podróże i inne arcydzieła. Utrzymywała się prócz tego księgarnia dość porządna, a dużo książek mama wypisywała z Rygi lub Warszawy, zwłaszcza dla nas do nauki. Umiała też w nas obojgu wcześniej zaszcze-

nić wielkie upodobanie do czytania, które mi najmilszej dostarczało rozrywki w zdrowiu i chorobie, a potem naukę ułatwiało i uprzyjemniało. Przypominam sobie, że kiedyś będąc mocno chorą, nie dawałam przystąpić do siebie felczerowi, który miał mi stawiać pijawki i dopiero piękna książeczka przez ojca z miasta przyniesiona utuliła mię w płaczu; trzymałam ją mocno obiema rączkami i wstrzymywałam łzy, wymykające się z bólu i strachu przed gryzącymi pijawkami. Długo też zachowywałam tę książeczkę, jako pamiątkę.

Oprócz książek, zawsze najulubieńszych, nie brakło też nam, jak mówiłam, i innych zabawek pięknych i kosztownych. Kiedyś, mając już cztery lata, zdziwiona zostałam wchodząc do saloniku naszego widokiem ogromnej lalki, a jak mi się zdawało wspaniałej damy, wyglądającej na królową, bo miała suknię purpurową ze złotem, aksamitny, również złotem haftowany kapelus i śliczne, także wystrojone dzieciątko na rękę, a wzrostem znacznie mnie przewyższała. Przystąpiłam też z uszanowaniem i ucałowałam rękę owej nadzwyczajnej istoty, a z trudnością uwierzyć mogłam później, że to tylko *lalka*, do zabawy mojej przeznaczona, a sprowadzona w tajemnicy przez panią marszałkową T. *), przyjaciółkę rodziców moich; na jej życzenie Ewelina nazwana.

Sama pani Talko osoba bardzo wykształcona, mówiła wiele i głośno bardzo, (gdyż była głuchą), a głównie po francusku, lub mieszając to z polskim językiem, jak to dawniej zabawną było modą; ale przyjmowano

*) Talko.

ją wszędzie z uszanowaniem, zwłaszcza, że chciano jej okazywać życzliwość, gdy po śmierci męża znaczny majątek utraciła. Pamiętam ją, jak szczupłą i wysoka zawsze trzymała się prosto i dumnie, jak gdyby płaszcz królewski, zarzucała szal wytarty, którym się okrywała. W pokoikach jej skromnych mieściły się różne wykwintne sprzączki, z dawnych czasów pozostałe, a także dużo pięknych książek, które pani Talko dniem i nocą czytywała, zachwycając się niemi. Zdawało mi się wtedy, że każdy, kto książek wiele czyta, jest mądry, a kto ich wiele posiada — szczęśliwy.

Pamiętam też cokolwiek dom hrabiny Ożarowskiej, z aczej bardzo staruszki, u której rodzice bywali; przypominam sobie, że był tam niewielki portrecik samej pani, ładnie malowany, jak mi powiedziano, przez wieśniaka, poddanego z jej dóbr, którego uwolniła i na naukę posłała. Najlepiej jednak przypominam sobie, kiedy po śmierci hrabiny i wielu osób z jej rodziny sprzedawano piękne sprzęty, bibliotekę i inne rzeczy, na co z żalem patrzyłam, towarzysząc tam mamie, która kilka drobnostek na pamiątkę nabyła. Smutno mi się zrobiło wtedy, patrząc na ruinę domu cudzego, chociaż nie przeczuwałam, że u nas coś podobnego nastąpi kiedyś.

IV.

Podlesce i Poczajów. — Kościół i nabożeństwo. — Żywe aniołki. — Muzyka i nauczyciel mój białowłosy. — Kontrabas i wieczorki muzyczne.

Rodzice moi trzymali konie, codzień więc w ładną porę jeździliśmy powozem na spacer za miasto my oboje z mamą, która brała zwykle jakąś książkę do czytania. Celem przejażdżki była najczęściej dębinka, las należący do Białokrynicy, majątności hr. Czosnowskiego, który tam wybudował pałac, ale bardzo niegustowny; pamiętam, że po czterech rogach wznosiły się wieżyczki spiczaste, jak głowy cukru, a blachą kryte, co z daleka na słońcu błyszczało.

Czasem znów jeździliśmy do Podlesiec, gdzie daleko więcej znajdowało się kwiatów, a w pogodny dzień z dała widać było klasztor Poczajowski, odwiedzany przez mnóstwo pielgrzymów. Na drodze wiodącej tam z Podlesiec leżały ogromne kamienie, które niewiadomo skąd się tu dostały; lud zaś takie opowiada o nich podanie: Pewnego razu szatan zagniewany, że ludzie modlący się w cerkwi Poczajowskiej hurmem później dostawali się do nieba, postanowił zniszczyć ów przybytek Boży i w tym celu nagromadził ogromne głazy, którymi miał ciskać w klasztor i kościół. Pewnej nocy wła-

śnie, korzystając z jakiejś pomyślnej okoliczności, wybrał się duch z kamieniami na klasztor, gdy wtem nagle kur zapiał i złoźnik musiał uciekać, porzuciwszy bryły kamienne na drodze. Nie pamiętam już dlaczego wyprawy swej nie powtórzył, dość, że kamienie leżą dotąd, a klasztor Poczajowski stoi i gromadzi zawsze tłumy pobożnych, znoszących rozmaite ofiary mnichom tamtejszym. Po każdym prazniku (święto cerkiewne) znajdują się tam setkami sztuki płótna, wory orzechów itp. dary dusz pobożnych, a znów rozchodzą się tysiącami obrazki Matki Boskiej Poczajowskiej.

Wracając z przejażdżki, przypatrywaliśmy się z zajęciem, jak żydzi, w domach zajezdnych przed miastem mieszkający, rozbijali krzemienie, ogromnymi stosami leżące przy drodze, przyrządzając je tym sposobem do krzesania ognia; wtedy bowiem jeszcze używane były krzesiwka stalowe i my nawet mieliśmy takie na zabawkę, wybijaliśmy błyszczące iskierki z twardych krzemków, co zwłaszcza wieczorem ślicznie się nam udawało. Była też przy drodze kapliczka maleńka drewniana z wizerunkiem Ukrzyżowanego, a druga podobna z przeciwnej strony miasta, zwykły cel przechadzki piątkowych dla pobożnych mieszkańców Krzemieńca.

Jużto nabożeństwa wszelkie były bardzo uroczyście obchodzone w miasteczku naszym. Z początku przypominam sobie małą w prywatnym jakimś domu urządzoną kaplicę, która wystarczać musiała dla wszystkich parafjan; zwykle też część pobożnych mieściła się w ogródku koło kaplicy. Dopiero proboszcz młody

i energiczny, ks. Szczepanowski, zakrzętał się około wzniesienia domu Bożego i otrzymawszy zasiłek od rządu, resztę ze składek nagromadził i w lat kilka stanął dość duży, murowany kościół, którego poświęcenie, z wielką uroczystością odbyte, napęliło radością parafjan. Odtąd z większą jeszcze gorliwością zacny kapłan odprowadzał nabożeństwa, które też ściągaly tłumy ludu: w dni Krzyżowe na wiosnę odbywały się procesje za miasto do ołtarzy, przy rozmaitych kapliczkach umyślnie ubranych i przypominam sobie, jaki to był piękny widok różnobarwnej procesji, wijący się długą wstęgą po zielonych górach, wśród sadów bujnie rozrosłych i świeżem kwieciami osypanych.

Na Boże Ciało znów ubierano ołtarze w różnych częściach miasta, a każdy się o ten zaszczyt ubiegał, wysilając się na gustowne i wspaniałe o ile możności przystrojenie przybytku Bożego. Sąsiedzi i znajomi spieszyli z pomocą; znoszono kosze kwiatów, wito girlandy z bławatków do owijania białych filarów, zwożono zielone gałęzie, wreszcie wysypywano ulice wonnym tatarakiem, którego mnóstwo wyrastało przy Królewskim Moście. Raz, pamiętam, w domu pp. M. przy ulicy Ogrodowej, ujrano ze zdziwieniem na ołtarzu wśród obłoków z niebieskiej gazy dwa śliczne aniołki ze skrzydełkami srebrzystymi: klęczały one nieruchomo ze złożonymi rączkami, ale nagle jeden z nich mrugnął oczkiem niebieskiem, czy też poruszył się cokolwiek i dopiero poznano, że to były żywe dzieci; (dobrze mi znane Mania K. i Wikcia), wszyscy też z przerażeniem widzieli je na takiej wysokości, a niektórzy nawet utrzymywali

półgłosem, że to grzechem było dzieci nad ołtarzem umieszczać; w każdym razie więcej było przy tym ołtarzu przypatrywania się, szeptów i uśmiechów, niż modlitwy.

Przed księdzem celebrującym postępowało zwykle grono dziewczynek biało ubranych z wieńcami bławatków, sypiąc kwiaty; było to mojem marzeniem należeć kiedyś do tego gronka, ale, że byłam delikatnego zdrowia, rodzice bali się z odkrytą głową narażać mnie na promienie słońca i musiałam się wyrzec upragnionej przyjemności.

Od dzieciństwa byłam wielce pobożną a w zimie, nie mogąc wcale wychodzić, urządziłam sobie, pamiętam, niby kapliczkę w kącie za kanapą, gdzie był ołtarzyk z Matką Boską Częstochowską, świeczki małe itd., a ja klęcząc, długie tam odprawiałam modlitwy i różne sobie zadawałam umartwienia w sekrecie. Był nawet czas, że pragnęłam zostać zakonnica, ale dość wcześnie, bo jakoś przed skończeniem lat 9-ciu czy 10-ciu wyrzekłam się tego zamiaru.

Skończywszy lat 7 zaczęłam brać lekcje muzyki od staruszka, blisko 80-letniego p. Müllera, którego ostatnią już byłam uczennicą, lubił mię też wielce i wnuczką swoją nazywał, bo dawniej uczył mamę moją i jej siostry. Jemu to wiele zawdzięczam, gdyż był sumiennym i wybornym nauczycielem, przyznam się jednak, że z początku nie bardzo w muzyce gustowałam, dlatego może, iż z woli mamy musiałam trzy godziny dziennie się ćwiczyć, co mię męczyło i nudziło. Nieraz też wygrywając machinalnie ćwiczenia Nowakowskie-

go, przyglądałam się chmurkom, po niebie się przesuającym, którą to rozrywkę bardzo polubiłam; albo też w myśli układałam różne historje i powieści. Jednej pamiętam tytuł, bo ją nawet zaczęłam spisywać, było to: *Zofja czyli dziecko poezji!* ale szczęściem utwór ten nie przechował się, prócz kilkunastu wierszy, które w wiele lat później znalazłam w szufladzie.

O p. Müllerze dużo mogłabym opowiedzieć szczegółów, bo się przywiązałam bardzo do zacnego staruszka, który opowiadał ciekawe historje o dawnych czasach i domach, w jakich przebywał, np. u p. Bobra w Zahajcach (którego dwie córki, hr. Potocką późniejszą i hr. Dzieduszycką muzyki uczył. Wielki miłośnik muzyki, nie mógł znieść, kiedy ją kto lekceważył, albo znieważał: „to świętokradztwo“! mawiał, a nieraz widzieliśmy, jak staruszek, mimo dobrej tuszy, pędem prawie rozgorączkowany i rękami machając uciekał z kościoła do domu, dotknięty do żywego fałszywym graniem organisty na chórze: „Powiesić go“! wołał łagodny zwykle i pobłażliwy staruszek muzyk. Lubił też czytać i robić wypisy ze wszystkiego tego, co go interesowało; przytaczał przysłowia i anegdotki rozmaite, dowcipy i figle, z których się sam śmiał serdecznie; miał ptaszki oswojone i nieraz widziałem, jak kanarki do wyścielania gniazdka oskubywały białe jak mleko włosy jego, gdy głowę przybliżył do klatki. Grywaliśmy dużo na cztery ręce i to poważne utwory, jak fugi Bacha itp. temu też głównie zawdzięczam łatwość wielką w czytaniu nut *prima vista*, którą na później zachowa-

łam, a która mi niemało przyjemności i korzyści przyniosła.

Do rozwinięcia smaku przyczyniały się także wieczorki muzykalne u pp. doktorostwa N. *), gdzie sam gospodarz w późnym już wieku zabrał się do nauki na kontrabasie, ogromnym instrumencie, pasującym do jego wielkiej tuszy i wzrostu. Dzięki panu N., który zgromadzał u siebie rozmaite talenta miejscowe i chwilowo goszczące, tworzyły się grona amatorskie do wykonywania utworów kościelnych i niejedna Msza ze śpiewem i muzyką rozlegała się w murach naszego nowego kościółka. A próby, to dopiero były ciekawe! Przysłuchiwałam się im często, zwłaszcza, gdy w śpiewie występowała śliczna kuzynka moja Wandzia, która na kilka miesięcy do nas z Ukrainy przybyła *). Umiała też ona niemało piosneczek wesółych lub rzewnych, które we mnie więcej obudziły upodobania do muzyki, niż wszystkie dotychczasowe nauki pocziwego pana Müllera.

A wesola była i dowcipna; wierszyki sypała, jak z rękawa, wszystkich rozweselić i zająć umiała, toteż dom nasz niezmiernie się ożywił jej pobylem, a dla mnie Wandzia na długo została ideałem wdzięku i piękności, rozumu i szlachetności. Teraz, gdy to wspominam, ona już leży oddawna pod zieloną darnią na Powązkach, ale... wróćmy do dawnych czasów.

*) Niemekszów.

***) Wanda Roszkowska (później Szumowska).

V.

Pierogi u Mińczuka. — Góry Piaskowe. — Skarby zakłete.

Ulubionem miejscem przechadzki dla Krzemieńczan był ogród Mińczuka, na stokach góry Czerczy położony, a sławny z czasów licealnych jeszcze, nietyle malowniczością położenia lub świeżością powietrza, które jednak nic do życzenia nie zostawiało, ile wybornymi pierogami. Zwykle liczne towarzystwo, mając iść na górę do posągu Matki Boskiej, zachodziło do Mińczuka dla zamówienia stosownej ilości pierogów pszennych lub gryczanych z serem wybornym, a za powrotem znajdowało wszystko gotowe i stoły zastawione na murawie przed chatą. Pierogi zamawiało się na kopy (płacąc po dwa złote *) za kopę czyli po groszu za pieróg!) a śmietaną stawiano już bezpłatnie w dodatku „à discretion“, jakby zapewne Mińczuk powiedział, gdyby język Gallow posiadał:

Ja już starego Mińczuka, protoplasty pierogów i rodu nie pamiętam, ale synowie jego i córki, wierni tradycji, karmili swoich gości znanym przysmakiem, chociaż słyszałam narzekania, że pierogi o połowę mniejsze, niż bywały za czasów licealnych. Smakowały jed-

*) Dawniej złoty polski miał 30 groszy.

nak każdemu. Przypominam sobie jeszcze, jak ów uczony profesor p. Uldyński sam jeden kopę mińczukowskich pierogów z serem i śmietaną konsumował, a potem jeszcze nie gardził dużą kromką chleba z masłem lub plasterkiem świeżego miodu.

Czasem pokrzepione podwieczorkiem grono wdzierało się na stromą górę Bony, skąd uroczy roztaczał się widok na miasteczko, biejące w dolinie i na okolicę. Dziś to rozkosznie a zacisznie wygląda, ale przed laty, zapędzające się aż tu zagony tatarskie szerzyły rozpacz i zniszczenie, a gdyby nie zamek, co się piętrzyło na górze, możeby jeszcze gorzej było.

Mówiąc o górze Bony, trudno nie potrącić o dawne czasy, których ona nosi pomnik na swym szczycie.

Wieleż to razy i z wielu osobami wspinaliśmy się po stromych bokach góry Bony, doświadczając z powrotem zwłaszcza rozmaitych zabawnych przygód przy spuszczeniu się urwistą lub piaskiem ruchomym okrytą ścieżką na dół. Jak cienie przesuwają mi się przed oczami postaci różnych towarzyszy i towarzyszek owych przechadzek na Bonę lub Czerczę. O każdym lub każdej byłoby coś do powiedzenia, ale toby foljały całe zajęło i dlatego trzeba się powstrzymać i nie mówić już chyba o nikim. Każdy ze znajomych i przyjaciół naszych w Krzemieńcu miłe mi zostawił wspomnienie, a stosunki, jakie łączyły mieszkańców, były o wiele przyjemniejsze, niż w innych miasteczkach. Jakże tu się oddawały wzajemne przysługi sąsiedzkie! Pamiętam, jak mama, ile razy się w domu wypiekało co dobrego (a zdarzało się to bardzo często), posyłała koszyczek

w tę paczkę w białej serwecie w ową stronę; a maliny, jabłuszka, szparagi i inne przysmaki z ogródka naszego także wędrowały do sąsiadów, którzy nawzajem przy zrzeczności nas obdarzali różnymi specjami. Nie ograniczało się to na przysmakach gastronomicznych; przeciwnie — książki, gazety udzielały się od jednych do drugich z uprzejmością szczerą.

Pism ilustrowanych niewiele było jeszcze w dzieciństwie mojem; jeden z pierwszych pojawił się Tygodnik Ilustrowany, który też natychmiast wypisali rodzice moi. Zresztą bywało zawsze w domu parę pism francuskich i pamiętam dotąd z Ilustracji kolebkę małego księcia Napoleona, tego, co przed niedawnymi czasy poległ gdzieś u Zulusów *). W Krzemieńcu mówiono wówczas dużo o Cesarzowej Eugenji, o Garibaldi (którego wizerunek nosiłam na guziczku czas jakiś) i innych znakomitościach, a panowie, na ulicy nawet przechadzając się, toczyli przeważnie dysputy polityczne, przy których się nieraz tak zapalali, że posprzeczali się na dobre. Pan Klembowski z ks. dziekanem, ojciec mój z p. M.**), zacnym a wielce skromnym i cichym człowiekiem, wiedli długie spory o projektach tego lub owego ministra, o wojnach włoskich, czy afrykańskich i t. d.

Ojciec mój zawsze lubił czytywać, mimo uciążliwych zajęć swoich, znał dobrze kilka obcych języków, Wallenroda całego umiał na pamięć. Pisał także swój

*) Książę „Lulu“, syn Napoleona III. i Eugenji, zginął w Afryce w 1883 r.

***) Miłaszewskim.

dziennik, czy raczej pamiętnik, z którego jeden tom grubo zginął, najciekawszy, jak mówiono, ale i pozostałe wiele szczegółów zajmujących zawierają. Może też z czasem przypomnę sobie lub wyszukam niektóre z opowiadań ojca.

Tymczasem wspomnę jeszcze o siostrze jego, od-
wiedzającej nas czasem na parę tygodni lub miesięcy, ciotci Kamilci, którąśmy radośnie witali zawsze. Szczupłutka i małego wzrostu, z czarnymi, gładziutko uczesanymi włosami, ciocia była o tyle poważną i spokojną, o ile brat jej a ojciec nasz żywym się okazywał w słowach i ruchach; mówiła ładnie po francusku i towarzyszyła często na spacer nam obojgu z braciszkiem, a dokazywaliśmy też dopiero, licząc na pobłażliwość dobrej ciotci. Najczęściej wypraszailiśmy się z nią do wąwozu, gdzie się wysoko wznosiły Góry Piaskowe i dopiero była uciecha, wgramoliwszy się na wierzchołek prawie, staczać się, zanurzając w srebrzysty, suchy piasek, co nas z głową i oczami zasypywał. Mama niebardzo pozwalała na podobne wybryki, ale ciocia, choć przerażona i niespokojna, nie mogła nas powstrzymać i sama po kolana w bieluchnem morzu piaskowem zanurzona, molestowała nas z kolei po polsku i po francusku.

Ależ bo to śliczne były te góry Piaskowe, lśniące jak srebro na słońcu, pokryte mnóstwem muszelek i drobnych kamyczków; musiało tam kiedyś być wielkie jezioro, lub rzeka szeroka i głęboka, ale tego ludzie nie pamiętają i tylko ślady zostały we wspaniałym wąwozie, zasianym kamieniami i przerzniętym po każdej ulewie bystrym, z gór spływającym potokiem. Pa-

miętam, że nieraz po wielkiej ulewie znajdowano też w rynsztokach i na ulicach miasta dużo pieniędzy miedzianych z wizerunkiem Kazimierza Wielkiego itp.

Były podania o rozmaitych skarbach, zakopanych gdzieś w górach i wąwozach; niejeden też szukał chciwie złota czy srebra, kopiąc w ziemi; za mojej jednak pamięci nic nadzwyczajnego nie znaleziono. A jednak za czasów tatarskich i kozackich napadów musiano nieraz kosztowności lub pieniądze zakopywać w ziemi i ukrytych lochach. Miały podobno się ciągnąć długie korytarze pod górami Boną i Czerczą, ale się do nich nie dokopano. Później znów twierdzono, że w okolicy Krzemieńca musi się ukrywać węgiel kamienny, a rzeczywiście blisko miasta (od strony Młynowa i Żyrawki) ciągną się tam czarne torfowiska. Szkoda, że ktoś nie poszuka owych skarbów, w łonie ziemi ukrytych, a spoczywających może bez użytku, jak tyle innych w ziemi naszej zagrzebanych.

VI.

Tadeusz Czacki. — Zima. — Urodziny i urodzinki. — Złodzieje. — Żydzi. — Cholera.

Szkoła krzemieniecka, otwarta w 1805 roku pod skromną nazwą „Gimnazjum wołyńskiego“ stała się wkrótce ogniskiem oświaty dla całej okolicy. Miała cztery klasy *niższe* i sześć wyższych kursów *pryncypalnych*. Istniała do 1833 r. Z instytucją tą ulubioną w kraju, wiąże się wspomnienie Tadeusza Czackiego, o którym niech mi wolno będzie słów kilka przytoczyć z tego, co starsi o nim mówili i pisali.

Tadeusz Czacki (znany nam jako Tadzio w komedyjce p. Tańskiej: *Szkółka*), urodził się 1765 r. w Porzeczku, dziedzicznej majątności Czackich, rodu starożytnego, senatorskiego. Ojciec jego miał imię Szczesny; matka Katarzyna z Małachowskich. Dziecinne lata spędziwszy w Gdańsku u stryja, kształcił się młody Tadeusz później w domu ojca pod okiem nauczycieli prywatnych; wyjechawszy zaś do Warszawy, dopełniał nauki czytaniem dobrych książek, które czerpał z biblioteki Załuskich i archiwum koronnego, przyjęty życzliwie przez Naruszewicza, Albertrandiego i innych znakomitych mężów owej epoki. Badając z zapalem stosunki kraju i przeszłość jego, wszelkimi siłami sta-

rał się wpływać na rozwijanie pożytecznych instytucyj, na podniesienie dobrego bytu, ulepszenie dróg i komunikacyj i t. d. Za sejmu czteroletniego był Czacki gorącym stronnikiem reformy w naukach, nad którą się naradzał z takimi mężami jak Kołłątaj, Niemcewicz, Stanisław Małachowski i t. d. Później krzątał się około założenia Towarzystwa Przyjaciół nauk, ciągle jednak zajmując się badaniami dziejowemi. Najważniejsze z dzieł jego ma tytuł: *O litewskich i polskich prawach, o ich duchu i t. d.*, pełne ciekawych wiadomości, z których późniejsi uczeni nie mało zaczerpnęli światła.

W r. 1803 mianowany przez cesarza Aleksandra I. wizytatorem szkół w guberniach wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, miał Czacki wiele do czynienia, bo tu zwłaszcza komisja edukacyjna niezbyt dużo jeszcze zdziałać mogła. Widząc potrzebę ogniska oświaty dla prowincyj, zbyt oddalonych od miast większych, wyrobił Czacki od rządu pozwolenie na Liceum w Krzemieńcu. Fundusze złożyli sami obywatele trzech guberni, a szkoła wkrótce zaczęła wydawać najlepsze dla kraju owoce. Zakład ten był przedmiotem troskliwej opieki wizytatora, który dbał zarówno o kierunek nauk, tam udzielanych, jak i o rozwijanie obywatelskiego ducha. Do uczniów miewał piękne mowy, które później drukiem ogłaszano, a młodzież osobę jego otaczała czcią i miłością. Zmarł Czacki zbyt wcześnie, bo w 1813 roku, w Dubnie; pochowany zaś w grobach familijnych w Porzeczku.

Oprócz wspomnianego już dzieła, któremu zarzucają nieporządne nagromadzenie faktów i brak syste-

matyczności, pisał *O Dziesięcinach* i rozprawę *O Żydach*, objaśniając prawa, które im w Rzeczypospolitej przysługiwały. Zajęty wiecznie ważnemi myślami, Czacki w sprawach codziennego życia niezmiernie był roztargnionym, o czem się mnóstwo zabawnych anegdot nasłuchiwałam. Raz naprzykład, wysiadając z karety przed wejściem na pokoje królewskie w Warszawie, spostrzegł się nagle, że w pośpiechu ubrał się tylko w mundur, zapominając o reszcie ubrania również potrzebnej, musiał więc, okrywszy się płaszczem, wracać coprędzej do domu. Kiedyś znów, znajdując się w licz-
nem zgromadzeniu, położył poufale rękę na ramieniu — żony swej, jak sądził, tymczasem okazało się, że to był biskup we fioletach, kolorem do sukni pani Czackiej podobnych. Innym razem, na pewnym śniadaniu, trzymając w ręku talerzyk z zimnem mięsiwem, stawia go na białym jakimś stoliczku i — już zabiera się do krajania, gdy nagle stolik wstrząsa się, przewraca i zmieszany właściciel spostrzega, że go umieścił na — głowie jednej z pań, ozdobionej modnym podówczas zawojem, czy turbanem. Gorzej było, gdy kiedyś, zamiast własnej jedwabnej chustki do nosa, użył podobnego koloru sukni swej sąsiadki przy stole! Ale wszystkie te roztargnienia i mnóstwo innych przebaczano znakomitemu uczonemu i czczonemu w kraju całym mężowi. Któż nie zna owych portretów Czackiego, znajdujących się w każdym nieledwie domu, tej szlachetnej twarzy o orlim nosie i włosach siwiejących, w górę od skroni zaczesanych. Pod Żytomierzem, nad brzegiem

rzeki Teterowa, zwiesza się skała, dziwne przedstawiająca podobieństwo z twarzą Czackiego z profilu widzianą; nosi też nazwisko wielkiego męża tego i jest celem ulubionym wycieczek mieszkańców i przyjezdnych — z czego też i ja kiedyś skorzystałam.

A teraz po tym ustępie wracam znów do różnych codziennych zdarzeń mojego dzieciństwa.

Życie nasze w lecie urozmaicone było przechadzkami, często w licznym towarzystwie odbywanymi, oraz wycieczkami na wieś do znajomych; zimę za to spędzało się bardzo jednostajnie, nie wychodząc prawie z domu, gdzie po nauce książeczki z powieściami i opowiadaniem podróży główną stanowiły rozrywkę. Braciszek mój prócz tego zajmował się „robieniem ognia“, jak mówił, przyczem postępował mniej więcej tak, jak owi uczeni, co lata trawili nad wysmażaniem kamienia filozoficznego, podobnem też cieszył się powodzeniem. Całemi wieczorami skrobał on rozmaite materiały, jak np. pudelecza z zapalek, kamyki, tróćiczki i t. p., a mieszaninę swą zamykał do buteleczki, którą silnie potrzasał, oczekując daremnie iskierki ognistej. Wreszcie trzeba było iść spać, mimo zwykłych wypraszań się i lamentów, ale buteleczka z palnemi materiałami stawała się na słupku obok łóżka, w nadziei, że może w nocy wybuchnie jasnym płomieniem. Doświadczenia, powtarzane mimo ich bezskuteczności, dowodzą zapewne wytrwałości charakteru braciszka mego i pewnego zapалу do wynalazków; muszę jednak wyznać że dotąd, choć już lat wiele upłynęło, nic jeszcze nie

wynalazł, może dlatego, że „proch już wymyślony“, jak mówi przysłowie. *)).

Wielką uroczystością w domu naszym były urodziny nas obojga, a zwłaszcza pierworodnej córki, t. j. moje, przypadające na tydzień przed Bożem Narodzeniem. Całymi tygodniami oczekiwało się tego święta, a ostatnia noc najczęściej bezsenność upływała i raniutko przechodziło się do łóżka mamy „na pieściutki“ i powinszowania. Jakie to były domysły, co do zawartości rozmaitych paczek tajemniczych, ukrywających się w szafie mamy, od której jednak klucz zostawał najczęściej w zamku! Ale czyżby które z nas ośmieliło się dotknąć czegokolwiek bez pozwolenia?... A jak to mateczka nasza umiała obudzić i zaostrzyć ciekawość! jak odgadywała najtajniejsze życzenia nasze i zadowolnić je umiała!....

Po otrzymaniu pieściotek i podarków od rodziców i służących, zaczynała się dla mnie cała procesja z biletami, paczkami i pakietkami rozmaitych wielkości i kształtów; zwykle zastawiał się stół cały, jakby sklep, cackami i spręcikami ładnymi, którymi przyjaciele i wdzięczni pacjenci Tatuńcia zasypywali jego pieścioczki. Czasem nawet nie czytając biletu lub liściku domyślałam się, co od kogo pochodzi, i tak: pani Cz.***) co roku przysyłała piękną książkę z ładnym napisem i to zawsze stosowną do wieku i rozwijających się upo-

*) Zygmunt Bohowityn Kozieradzki, inżynier, zginął tragicznie w sile wieku we 2 lata po ogłoszeniu niniejszych wspomnień.

**) Czosnowska.

dobań moich; pani M. *)), chrzestna matka moja, drobne klejnociki i t. p. A czego tam nie było! Cały prawie drugi dzień poświęcony był układaniu i chowaniu skarbów moich, z których później znaczna część przy zachęce mamy rozchodziła się w świat, także na podarunki.

Pamiętam jeszcze, że wśród kosztownych cacek i różności wszelkich zawsze z wielką radością witałam mały gliniany tygielek zielono polewany, zwany pospolicie ryneczką, a przynoszony przez starego Chaimka faktora, który co rok starannie powiększał objętość owej ryneczki, tak, że ostatnia, jaką dostałam, już podobno kończąc rok 9-ty, mogła być użyta do prawdziwej kuchni. Przy tej zręczności wspomnieć muszę, że lata dziecinne spędzone w Krzemieńcu, wyrobiły we mnie pewną życzliwość dla braci naszych Mojżeszowego wyznania. Wtedy ich jeszcze tak nie nazywano, ale znaleźliśmy dużo poczciwych i rzetelnych kupców czy rzemieślników żydów, którzy otaczając ojca mego najgłębszą wdzięcznością za to, że ich leczył i wspierał, przez długie lata dla nas, rodziny jego, przechowali życzliwość i uszanowanie. Wiem, że wkrótce po śmierci ojca, zjawiała się u mamy niby deputacja od żydów z naszego miasteczka z prośbą, żeby przyjęła od nich kredyt co do towarów, jakich może potrzebować, i pomoc, jakiej tylko żądaćby mogła. Naturalnie, że ofiarę ich mama z podziękowaniem odrzuciła, ale rozrzewniona była ich usłużnością i wdzięcznością, już teraz bezinteresowną. Pamiętam także tłumy żydów, postępujące za

*) Miłaszewska.

po grzebem ojca naszego, ale o tem jeszcze mówić nie pora.

Wracam do urodzin moich, na które wieczorem zbierało się liczne grono gości: była wyborna kolacja, torty, wina i t. d. Raz pamiętam, kiedy pito zdrowie solenizantki, pan Antoni R. *) dobry nasz przyjaciel, podniósłszy mię delikatnie z ziemi, postawił na stole, a że szczupłą figurką swoją niewiele miejsca zajmowała, przetrzymano mnie dość długo, mimo przerażenia mamy. Miałam też zwykle bardzo ładne sukienki, wyhaftowane najczęściej w przeróżne wzory i kolory ręką mamy, która jednak umiała tak jakoś zręcznie z tem postępować, że się upodobanie w strojach bynajmniej nie rozwinęło we mnie, ani w dzieciństwie ani nawet później.

Najweselsze, ale też i ostatnie wesołe urodziny moje obchodziły się właśnie za pobytu u nas Wandzi, która napisawszy śliczny wierszyk do mnie, potem wesoło z nami tańcowała. I nagle wśród tańców zniknąwszy, zjawia się po chwili w stroju „mołodycy“ ukraińskiej, uśmiechnięta, i zręcznie krokiem kozaczka wpadłszy do sali, obudza uwielbienie zebranych gości. Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że między domowymi przysmaczkami ulubione dla nas były placki, zwane urodzinkami, a obficie rodzynkami i migdałami z cukrem osypane. W dni takie mieliśmy także prawo posyłać podarunki dla ubogich dzieci, na co mama osobno przygotowywała jadalno i ubrania różne; to była również wielka przyjemność, bo też doświadczając tyle rozkoszy

*) Roguski.

i zbytków, pragnęło się tem żywiej udzielić z nich coś biednym, uprzyjemnić i im choć trochę ciężkie dni zimowe.

Na święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy posyłali też rodzice kolendę lub święcone dla więźniów w krzemienieckiej tak zw. „turmie“ siedzących i widać, że to było dobrze przyjmowane, bo nawet złodzieje, po wypuszczeniu lub ucieczce z więzienia, otaczali swoją opieką dom ojca mego i nie tylko nie popełniono u nas żadnej znaczniejszej kradzieży, ale pamiętam, że jakieś rzeczy, zabrane widać przez jednego nieświadomego, podrzucano napowrót. Między więźniami w jednej wspólnej kaźni przebywał długi czas niejaki pan D., człowiek znany w okolicy, który utrzymywał w Krzemieńcu wspaniałą cukiernię, ale zbankrutował i dużo osób naraził na straty, za co też go do więzienia wtrącono. Między poszkodowanymi byli rodzice moi i krewni, którym dość znaczna suma u bankiera przepadła; zwykle go jednak z litością wspominali i ojciec szczególnie go otaczał opieką, chcąc mu osłodzić przykry pobyt między złoczyńcami.

Miło mi wspomnieć dobroczynność i szlachetność rodziców moich, której wiele przykładów widziałam w rozmaitych wypadkach, piękną też pamięć zostawił dzieciom w spuściźnie. Ojciec nadzwyczajnie się lękał o zdrowie nasze, jak już mówiłam: w czasie cholery przez kilka tygodni na stole naszym nie pojawiły się żadne gotowane nawet owoce, ani jarzyny, a jednak sam ojciec dniem i nocą spieszył do chorych na każde wezwanie. Czasem wracał znużony, omdlewający pra-

wie, a tu gromady biedaków, żydów głównie, z płaczem do drzwi się dobijały, nadaremnie im stary lokaj nasz Ignacy perswadował, że pan konsyljarz sam chory i zmęczony. Ojciec wtedy nacierał skronie wodą kolońską lub octem i przełknawszy kilka kropel orzeźwiającego napoju, znów szedł lub jechał, i całymi godzinami wyczekiwaliśmy go z niepokojem.

W czasie jednej takiej epidemji umarła matka Słowackiego poety, później niejeden z naszych znajomych i przyjaciół. Żydzi, dziesiątkowani tą straszną chorobą, udali się wreszcie o radę do jakiegoś sławnego rabina, który im nakazał codzień rano na wysokich górach przez kilka godzin prosić Boga o zmiłowanie. Pamiętam, jak ojciec zachwalał mądrość rabina, bo rzeczywiście pobyt na świeżem powietrzu, oprócz, modlitwy, która uspokaja duszę, zbawienne wywierał skutki na zdrowie.

VII.

Goście z daleka. — Pan Antoni B. — Cebrzyk i poezja. —
Wielki zaszczyt.

Jednem z ważniejszych wspomnień dzieciństwa mego było przybycie do Krzemieńca kilku ludzi, powracających w rodzinne strony*). Na czele ich był p. Antoni B.***) już sześćdziesiąt lat podówczas liczący, znajomy mamy mojej, gdy była dzieckiem, a potem przeze mnie bardzo ukochany. Przybywał on, by zamieszkać

*) „...kilku ludzi powracających w rodzinne strony“... Był to Sybiracy, wieloletni wygnańcy, uwolnieni wskutek amnestji po zakończeniu wojny krymskiej i wstąpieniu na tron Aleksandra II.

**) Dr. Antoni Beaupré (ur. 1800, zm. 1871) wygnany na Syberję wraz z gronem towarzyszy za pracę oświatową nad ludem wiejskim w okresie po powstaniu listopadowem. Przebywał na wygnaniu około 20 lat w Usolju pod Nerczyńskiem i zdobył tam wśród wygnańców Polaków stanowisko przodujące dzięki niepospolitej inteligencji, ale przedewszystkiem dzięki wielkiej sile charakteru i wysokiemu wyrobieniu moralnemu na tle religijnem. Zarówno dr. Beaupré, jak i jego towarzysze byli na razie skazani na karę śmierci. Wyrok ulaskawiający i zamieniający śmierć na wygnanie dożywołnie (z którego, jak wyżej wspomniano, zostali po 20 latach uwolnieni) przyszedł w ostatniej chwili, gdy skazańcy nietylko stali już pod szubienicą, ale nawet mieli stryczki założone na szyję. Jeden z nich, wspomniany poniżej Kasper Maszkowski, tylko co był właśnie połknął papierową sturubłówkę, którą do ostatka trzymał w kieszeni, a nie chciał, by stała się łupem żoldaka moskiewskiego, który go miał wieszać. Tych stu rubli nie mógł się potem odżałować, gdyż byłyby mu się bardzo przydały w czasie pieszej wędrówki na Sybir.

w Krzemieńcu, a z nim przybywało grono kolegów i towarzyszy. Przypominam sobie ciekawe ich opowiadania z podróży *).

Bywało naprzykład, że zmuszeni koniecznością, panowie ci poważni i dotąd głównie zajęci książkami, nauką, musieli się zabrać do zajęć gospodarskich. I tak: sam pan doktor Antoni B. kucharzował, przysposabiając jakieś frykasy dla towarzyszków, a znów pan Kasper M.**) pełen życia i energii, wielki lubownik poezji, musiał zatrudnić się staraniem około trzódki domowej.

— I widzę raz — opowiadał p. Antoni — jak mój Kasper dźwiga ceber z jakąś apetyczną mieszaniną... do chlewka, a tymczasem gromkim choć przyciszonym głosem powtarza wyjątki z ulubionego poematu Malczewskiego, np. „Czy Marja ciebie kocha?... mój drogi, mój miły?... i t. d.“.

Zwykle przytem opowiadaniu p. Kasper zrywał się oburzony i wyrzucał kolegom, że nań wymyślają rozmaite rzeczy, o których on sobie nic nie przypomina. On też podobno, zmuszony z kolei do zamiatania izdebki, którą zajmował z towarzyszami, siadał pośrodku pokoju i dopiero z impetem szczotką w różne strony rozmiatał śmiecie i kurz, twierdząc, że tak najlepiej porządek robić. Jedni o drugich przypominali anegdotki rozmaite, ci ze śmiechem, ci z gniewem niby, ale tak przytem wszystkim było wesoło! Z żalem też żegnaliśmy tych gości zacnych i rozumnych, gdy się w różne strony rozjeżdżali znowu.

W Krzemieńcu został p. Antoni, przywiózłszy jesz-

*) Z wygnania.

**) Maszkowski.

cze z Żytomierza młodziutką żonę, miłą i gościnną, tak, że dom ich stał się jednym z najprzyjemniejszych w miasteczku naszym. Wokoło olbrzymiego samowaru (sam pan bowiem był wielkim lubownikiem i znawcą herbaty) gromadziło się liczne grono przyjaciół, a rozmowa, muzyka, czasem nawet tańce zajmowały całe godziny. Wszyscy największem poszanowaniem otaczali zacnego gospodarza, którego głęboki rozum, połączony z sercem szlachetnem, każdego zjednać musiał. Twarzy mocno śniadej, włosy miał kručzej czarności, w długich puklach spadające na ramiona, brwi gęste i często namarszczone nad czarnymi oczami, które patrzyły tak rozumnie i przenikliwie, że zdaje się, żadnej myśli przed nimi ukryć nie było można, a czasem tak łagodnie i serdecznie, że się chciało ręce jego całować. Fałszem brzydził się p. Antoni nadewszystko, prawdę mówił innym bez ogródki, nawet czasami ostro i surowo, nieraz wyłajał, ale wśród tego przebiegało się złote jego serce.

Dla mnie p. Antoni był tak ukochanym, jakby kto z najbliższych, a każde słówko jego, zachęty czy pochwały, na długo zapisywało się w sercu. Później, gdy byłam starszą, dostawałam od niego wyborne książki, zwłaszcza z historii powszechnej, którą się szczególnie zajmował, spisując tomy całe dla syna, wówczas jeszcze w kolebce będącego. Wykradałam się z najweselszego towarzystwa do pracowni p. Antoniego, którego zastawałam przy stole ogromnym, zarzuconym stosem papierów i ksiąg, ale zawsze prawie miał dla mnie uśmiech i słówko życzliwe, cierpliwie

śluchał uwag nad książką jaką, lub na pytania moje odpowiadał. Nieraz przychodziłam z bukietem narwany w ogródku naszym kwiatów, które tak lubił, albo radośnie wybiegałam na spotkanie szanownego gościa, gdy z daleka już ukazała się jego głowa z długimi włosami i postać okryta białym płaszczem z jedwabnej, chińskiej materji, który w lecie nosił zazwyczaj. Nie lubił on próżności ani w słowach, ani w czynach, brzydził się próżniactwem i czczą paplaniną, a chociaż, jak mawiał „nie cierpiał“ tak zwanych *uczonych kobiet*, zachęcał jednak do kształcenia się i czytania rzeczy poważnych, byle gruntownie, nie z chęci opisu.

I rzeczywiście w towarzystwie, gdzie on był, zawsze się znalazł materiał do rozmowy zajmującej, a nikt się nie odzywał z ploteczkami lub obmową. Od pana Antoniego nauczyłam się grać w szachy, z czego wielce dumną byłam i mimo wrodzonej żywości temperamentu, wysiadywałam godziny całe naprzeciw poważnego mistrza mego nad szachownicą.

Pani znów sama, Ruta *) jak ją mąż nazywał, uosobioną była dobrocią i pobłażliwością: ona każdego uniewinnić umiała, za każdym przemówić słówko i nawet winowajcę zasłonić przed gniewem męża, czy to był służący niezbyt sumienny, czy dziecko łakome lub nieuważne, czy choćby, kot co wypił śmietankę. Nieraz p. Antoni żartował z niej z tego powodu, gdy był w dobrym humorze. Później dotknięty chorobą, która go do fotela przykuła, a przytem

*) Seweryna z Iwanowskich Beaupré † w Krakowie w 1908 r.

gnębiony stratą całego funduszu, wskutek bankructwa jednego z najmożniejszych obywateli gubernji wołyńskiej, nie stracił nasz zacny p. Antoni ducha ani energii, przeciwnie coraz cierpliwszym, łagodniejszym się stawał. Łzy mi się nieraz cisnęły do oczu, gdy widziałam cierpienie jego, a przytem ciężką pracę, gdyż z pomocą żony uczył swoje i obce dzieci, odrywając się od ulubionych zajęć.

Czynny do ostatniej chwili i zajmujący się wszystkim, co się w świecie działo, na kilka godzin przed zgonem jeszcze usiłował zamglonemi oczami wyczytać wiadomości z gazet. Przedtem jednak wiele miłych chwil spędziliśmy w domu p. p. B., gdzie nawet, będąc małą zupełnie dziewczynką, dostąpiłam tego zaszczytu, żem do chrztu trzymała ich synka, wprawdzie w trzeciej czy czwartej parze; niemniej jednak wielką napaślało mnie to dumą, a zawsze dzieci niezmiernie lubiłam, więc się odtąd uważałam za namaszczonej opiekunkę małego Tiońka *).

*) Antoni Beaupré, obecny redaktor „Czasu“.

VIII.

Smutne rzeczy. — Niedola. — Cmentarze. — Mieszczki i szlachta.

Pomiędzy wrażeniami, jakich zapomnieć nie mogę, był widok bardzo nieszczęśliwej kobiety, do której nas mama kiedyś zaprowadziła. W małej chatce, u stóp góry Bony, na ubogiem, słomą wysłanem łożku, leżała chora, sparaliżowana od lat czterdziestu, to jest od czasu, gdy była jeszcze młodziutką dziewczynką. Członki jej powykrzywiane okropnie, mowa niewyraźna i głowa ciągle się chwiejąca, straszne czyniły wrażenie, a jednak kobieta ta zupełnie była przytomną, wdzięcznie przyjmowała starania wszelkie około siebie i modliła się biedaczka. Nie mogłam się od łez powstrzymać, gdy ona płacząc dziękowała Bogu, że do niej dobrych, jak mówiła, ludzi sprowadził. Później opowiadała dziwnym głosem, raczej do przerywanego jęku podobnym, jak jej się długą noc wydaje, gdy silniejsze bóle spać nie pozwalają, albo i dzień nawet, gdy wszyscy powychodzą z chaty na robotę, a ona sama leży, ruszyć się nie mogąc prawie. Czasem wypełzała za próg chaty, opierając się łokciami i kolanami, od czego też miała pokaleczone ręce i nogi.

A jednak ta nieszczęśliwa nie narzekała, przeciwnie, modliła się gorąco i serdecznie, a ja sobie pomy-

ślałam i pierwszy raz może zrozumiałam, jakim dobrodziejstwem jest wiara, jaką pociechą modlitwa! To straszliwe cierpienie, połączone z pobożnością i uległością woli Boga, przyciągało mnie dziwnie do nieszczęśliwej Barbary, która inaczej wstrętną się wydać mogła. Długi czas z oczu jej stracić nie mogłam i przeszedł nawet zdawało mi się, że słyszę ów głos płaczący; ale odtąd często odwiedzałyśmy biedną chorą, przynosząc rozmaite rzeczy, mogące jej ulgę lub przyjemność sprawić. Z jakąż nas witała radością, jak lubiła, żeby z nią rozmawiać! Jak się cieszyła każdą drobnostką! Kiedyś przyniosłam z triumfem poduszeczkę jakiegoś własnoręcznie uszyte, które jej służyć miały do owijania kolan, gdy się zsuwała na ziemię, a wkrótce dowiedziałam się z radością, że jej się bardzo przydały i oszczędzają bólu. Gospodyni chaty, a siostra biednej chorej, robiła dla niej co mogła, ale sama uboga, wiele z nią miała kłopotu, chętnie też przyjmowała pomoc każdą.

Pierwsze to moje zbliżenie się z nędzą, z nieszczęściem, wywarło wrażenie na całe życie i zdaje mi się, że żadna z pańienek nie wyrosłaby na bezmyślną i próżną istotę, gdyby czasami rzuciła okiem na prawdziwą niedolę. Matka nasza, choć bardzo czuła i troskliwa, nie chroniła nas zbyt mocno od podobnych wrażeń; przeciwnie, wołała, by łezka niejedna popłynęła z oczu, niżby serce obojętnem pozostać miało na niedolę innych. Nieraz też słyszeliśmy błogosławieństwa biednych, zlewane na rodziców naszych i ich dzieci.

Wogóle przez czas dzieciństwa mego więcej o lu-

dziach dobrego słyszałam, niż złego, i w rzeczy samej w czasie smutnych życia kolei wieleśmy od innych współczucia i życzliwości doświadczali. Już to prawda, że w Krzemieńcu wszyscy z sobą żyli jakoś serdeczniej, niż gdzieindziej, wiele miejsc rozmaitych poznałam później, ale nic podobnego nie widziałam nigdzie. To coś nakształt tego, jak kiedy w rodzinie znajduje się starzec poważny, białowłosy, którego dzieci, wnuki i domownicy tak szanują, wspominając piękną przeszłość jego, że nawet nie śmiały wyrządzać mu przykrości nieporozumieniami i sprzeczkami między sobą, bojąc się zakłócić spokoju szanownego starca. Takim niby starcem był dla wszystkich mieszkańców Krzemieniec poczciwy a tak poważny, mimo zielonego wieńca gór i lasów, jakim czoło swe zdobił.

Między przechadzkami, które czasem odbywaliśmy, lubiłam bardzo drogę na cmentarz „Bazyliński“, gdzie wtedy był tylko jeden drogi nam grób babci, nieznaney mi i małego braciszka Julka. Szliśmy zazwyczaj na pobliską górę Krzyżową a potem ciągle grzbietem gór innych, zakreślając prawie półkole i zdaleka patrząc w dół na miasteczko. Tam z pomiędzy drzew wyglądał szczyt dachu naszego, tu znów błysnęła złocona kopuła kościoła, a naprzeciw górująca ponad wszystkim Bona, na której stokach czasem zaczerśniała jak mrówki gromadka wspinających się po niej ludzi. Dalej wchodziliśmy w las, gdzie na wstępie witała kapliczka Św. Jana, a tu i ówdzie między drzewami widniał biały dworek z sadem i pasieką; futor, jak to u nas nazywano. Wreszcie wychodziło się na

wysoką, nagą już górę, po której boku piaszczystym i stromym spuszczałyśmy się ku cmentarzowi. Tam niestety mało znać było troskliwości ludzkiej: wysokie jakieś, żółto kwitnące ziele zarastało groby i ścieżki, zajmując, jak mówi poeta „dzieło ludzi w imię przyrodzenia“ i utrudniając przystęp do mogił ukochanych. Z powrotem szliśmy zwykle wąwozem ku miastu i wąskimi ulicami przez doły i pagórki, obok domu Cziższaka, który miał sławną pod owe czasy fabrykę fortepianów i dochodziliśmy wreszcie do siebie.

Był jeszcze i drugi cmentarz bliżej nas, na „Tunikach“, gdzie spoczywała pani Bécu, matka Słowackiego. I tej grób często nawiedzaliśmy, wstępując po drodze w wąwozie tunickim do znajomych chat, których gosposie, mieszczyki porządne i czyściutkie, przynosiły nam mleko, jaja, kurczęta i t. p. specjały. Były roztropne i wymowne tak, że słuchałam z zajęciem, kiedy z mamą rozmawiały nieraz. Mieszczyki te z kilku przedmieść (jak Tuniki, Syczówka, Bonówka, Grabówka itd.) uważały się za „lepsze“ od wieśniaczek, a znów szlachcianki z góry patrzyły na mieszczyki, wiążąc głowę chusteczkami wprawdzie tak, jak i tamte, ale okrągło, podczas gdy mieszczyki puszczały długi trójkątny koniec z tyłu głowy. W kroju sukmany, a nawet kossul, ściśle się trzymano szlacheckiej albo mieszczańskiej mody, stosownie do pochodzenia, o które i jedni i drudzy wielce dbali.

IX.

Ciocia i Wujcio z daleka. — Lampa. — Nowy - Staw. — Nasz Dziadunio. — Majówka. — Czarownica i kagańce.

Pomimo licznego gronka znajomych i przyjaciół w Krzemieńcu, dawał się nam uczuwać brak krewnych. Pamiętam, że jeszcze małą będąc, myślałam z żalem, czemu to ja nie mam babci ani dziadunia rodzonnego, jak owe dzieci, o których czytam, albo inne, znajome nasze. Z rodziny ojca nie został nikt, prócz cioci Kamilci, o której wspominałam, ale mama miała dużo krewnych ukochanych i nas też nauczyła ich kochać, choć nieznanych lub rzadko widywanych. Wszyscy oni mieszkali daleko, a wówczas jeszcze mało było kolei żelaznych, tak, że najmilsza nam ciotka Antonilla kilkanaście dni jechać musiała z dziećmi małymi do nas w odwiedziny z Kaługi, gdzie czas jakiś mieszkała *).

*) Antonilla z Pfaffiusów Roszkowska towarzyszyła mężowi na wygnanie do Syberji (również do Nerczyńska), zostawiwszy u siostry swej, „Mamy“ z pamiętniczka (Julja z Pfaffiusów Kozieradzka), jedyną córeczkę, 5-letnią Wandzię, dziecko tak przeculone, że mdlała, gdy rodzice wyjeżdżali na wygnanie. Na Syberji urodziło się im dwoje dzieci, wspomniana poniżej Lutka i Staś. Następnie pozwolono im „w drodze łaski“ przenieść się do Rosji, do Kaługi, gdzie jednak warunki życia były tak ciężkie, że p. Roszkowska sama musiała podłogi szorować. Potem wrócili do kraju. Gdy jednak Staś 17-letni za udział w powstaniu 1863 r. zesłany został na Syberję — tak tęsknił do domu i rodziny, że groziła mu melancholja. Matka wów-

Miałam wtedy dwa lata zaledwie, a jednak pamiętam rozmaite chwile z ich pobytu i zabawę z siostrzyczką cioteczna, później bardzo ukochaną Lutką. Potem upłynęło lat wiele, nim się znowu spotkałyśmy gdzieś daleko, w kijowskiej gubernji *).

Częstszym gościem był brat mamy, wuj Adolf P. **), młody, piękny, żywy, ze strzelbą i psem zawyczaj przyjeżdżający ze wsi, gdzie mieszkał. Wuj był też i zagranicą, opowiadał o Paryżu, o Szwajcarji, gdzie się ze starszym bratem spotykał, a z rana zachwycał mnie pięknym aksamitnym szlafrokiem tureckim i fezem na głowie. Wreszcie kiedyś przyjechał bez psa i fuzji, ale za to z młodziutką i ładną wujecią ***), którą cieszyliśmy się bardzo.

Z obcych gości pamiętam pewnego pana z Galicji, który nam przywiózł od pp. Januszevskich (krewnych Słowackiego) wielką nowość, to jest lampę i do niej banię kamfiny czyli nafty. Wielka była to uroczystość, gdy się ową lampę po raz pierwszy zapaliło, ale znaleźli się i tacy, którzy się obawiali zbliżyć do domu, gdzie tak niebezpiecznych materiałów używano, jak kamfina, o której dziwy powtarzano z dzienników i ustnych wiadomości.

czas wraz z siostrą, dorosłą już Lutką, wybrała się doń na Sybir poraz drugi w życiu i tam przebywała aż dopóki nie pozwolono im wszystkim razem powrócić do kraju.

*) „.....w kijowskiej gubernji“. W rękopisie było „na Ukrainie“, ale cenzura rosyjska nie tolerowała tego wyrażenia, ponieważ to był stary polski wyraz przypominający prowincje niemieckie. W Rosji zaś wolno było pisać tylko o „gubernjach“. Ta sama zmiana wyrażenia przez cenzurę powtarza się tu jeszcze kilkakrotnie.

**) Pfaffius.

***) Krystyna z Wareg-Massalskich Pfaffiusowa.

Nie wiem, jak dotąd mogłam nie wspomnieć o jednym z najmiłszych dla nas świata zakątków, o Nowym-Stawie, gdzie tyle rozkosznych chwil się spędziło. Sama pani R. *) była przyjaciółką od lat dziecinnych mamy, a nas dzieci ukochaną i pieśczośliwą opiekunką; mąż jej zacny i miły niezmiernie; dzieci dwoje w wieku naszym, prócz jednej córki starszej i dwoje starsuszków, t. j. dziadunio, przez nas wszystkich tak nazywany, sędziwy profesor i dziekan liceum Krzemienieckiego, pan Wyżewski i ciotka Helena, najlepsza orędowniczka dzieci, kochająca i pobłażliwa aż do zbytku.

Jakże radośnie wybieraliśmy się zwykle do Nowego-Stawu, gdzie tyle uciech nas czekało! Ogród z kwiatami i rozkosznymi altankami, to nic jeszcze, bo i w domu mieliśmy podobny, ale staw, młyn szumiący, do którego chodziliśmy się przypatrywać, jak woda spływająca obraca koła, walce i młyńskie kamienie: tu sypią z worów zboże, tam wylatują otręby, a najniżej wysypuje się już bieluchna mąka! Tuż obok młyna przy grobli mieliśmy wyborną kąpiel; co to było śmiechu, gdy ktoś przejeżdżał, a my musiałyśmy kryć się pod most i siedzieć cicho, jak myszki; tylko najczęściej któraś wybuchała śmiechem i zaraz była karcona przez towarzyszki! Co podróżni myśleli o owych podziemnych dźwiękach, uszu ich dochodzących, nie wiem!

A nasze wycieczki do pełnych stodół, gdzie czasem długie godziny trawiliśmy we czworo na świeżem sianku, opowiadając sobie nawzajem przeczytane po-

*) Roguska.

wieści, snując projekta na przyszłość, albo kryjąc się w wonnych mięciuchnych stertach siana jedne przed drugimi! Czasem znów płynęło się w łódce po stawie, gdzie rosło mnóstwo lilij wodnych, albo na rzece Wilejce, ocienionej drzewami, lub wijącej się kręto wśród łąk zielonych. Często też grono nasze bywało zwiększone panienkami z sąsiedztwa, lub przybyłymi na wakacje kuzynami państwa R. Wieczorem znów tańczyliśmy poprzebierani za wiejskie chłopaczki i dziewczęta, lub śpiewaliśmy chórem przy fortepianie ulubione pieśni.

Czasem znów, obsiadłszy spoczywającego na łóżku dziadunia *) gawędziliśmy z nim wesoło i figlowaliśmy nawet, bo też wtedy był dobry i łagodny, jak gołąbek. Nie zawsze tak samo bywało, naprzykład, kiedy z kredą w rękę, stojąc przed ogromną tablicą, wykładał zawiłe kwestje z algebry lub geometrii wnuczkom swoim, do czego i my goście bywaliśmy przypuszczeni z łaski wielkiej. Najlepiej zadawała dziadunia żywa, a roztropna Mania**), podczas gdy poważny Lolo***), długo myślący, nim co powiedział, (choć powiedział do brze) ściągał na siebie za marudztwo przydomek, „asi-

*) Zacny ten starzec do końca życia (a umarł mając lat około 90-ciu), zachował rzeźwość umysłu i serdeczne uczucia; interesował się wielce polityką i najczęściej siadywał w wielkim fotelu z gazetą, na tle której rysowała się jego piękna, siwa głowa, o rozumnym, poważnym wyrazie.

**) Marja z Roguskich Radlińska, żona znanego historyka literatury prof. Ignacego Radlińskiego.

***) Karol Roguski, zamordowany później w tymże Nowym Stawie przez bolszewików.

nus asinorum“, który z pokorą, choć niezasłużenie przyjmował.

Pocziwy nasz Lolo, który do lat siedmiu chodził z długim warkoczem, bo ciotka Helena żałowała mu włosków obcinać, ubawił nas nieraz powagą i łatwownością swoją. Raz np. figlarna kuzynka, Zuzia, wyperswadowała mu, na widok złapanej w drucianą pułapkę myszy, iż to kanarek. Gdy potem wszyscy wyśmiewać zaczęli łatwownego Lola, odrzekł z powagą niewzruszoną: „Uwierzyłem, bom nie widział ogonka, teraz zobaczyłem i zaraz poznałem, że to mysz“! Dodać tu muszę, że nasz Lolo wyrósł na dzielnego i rozumnego młodzieńca, który wybornie myszy od kanarków odróżnia, nawet nie widząc ogonka. Wielką łączyła go przyjaźń z braciszkiem moim Zygmuśkiem, chociaż trudnoby było znaleźć charakterów bardziej przeciwnych: jeden żywy, jak iskra, drugi sensat, z ruchów i sposobu mówienia przypominający dziadunia kochanego; dlatego może był ulubieńcem ciotki Heleny, której powierzał wszystkie swoje utrapienia.

Pocziwa ciotunia! Zdaje mi się, że ją widzę jeszcze, w białym czepeczku wygarniowanym i szalu żółtym w tureckie palmeczki, cerującą cichaczem rozmaite uszkodzenia naszej dziecinniej toalety, żeby się która mama nie pogniewała. Żniwa i dożynki, wesela wiejskie, majówki w dużym lesie z pasieką, gdzie się jechało wozami na cały dzień, wszystko to było pasmo uciech nowostawskich, na wspomnienie których aż mi serce bije.

Jedną szczególnie majówka do ulubionego Kotia-

czyna, utkwiała mi w pamięci. Osób miało być ze czterdzieści, więc od rana już czekały rozbite namioty, stoły długie umocowano w ziemię, siedzenia kobiercami wysłano, a nawet kuchnię urządzono naprędce. Jakże to rozkosznie było błądzić po lesie wśród wonnych ziół i zielonej murawy, wdrapywać się na wysoką górę, z której śliczny roztaczał się widok na lasy i wzgórki dokoła! Potem bawiliśmy się w gry rozmaite: starsi i młodszy chwytały kółko, najzwinniejsi zabrali się do zajęcia; ja znów z laseczką w ręku goniłam wszystkich jako „czarownica“: biada temu, kto został choćby leciuchno trącony pałeczką! Musiał stać na miejscu, dopóki go ktoś inny z niebezpieczeństwem własnym nie przyszedł wybawić dotknięciem ręki, czyli „odczarować“. Została mi także w pamięci niemiła przygoda, a mianowicie to, że postawiwszy dzbaneczek ze śmietanką na improwizowanym, więc niezbyt równym stole, przewróciłam go, a cały strumień żółtawej śmietaneczki spłynął na ubranie siedzącego naprzeciw sąsiada.

Nad wieczorem zapalono wspaniałe stosy z gałęzi, wysoko ułożony i wśród śpiewów i śmiechów zaczęliśmy się zbierać do powrotu. W ciemnym lesie uwijali się ludzie na koniach z kagańcami, (gałki smolne palące się w drucianych woreczkach, czy siatkach), ładowano wozy, siadano do pojazdów, spierając się, kto komu towarzyszyć będzie, a wszystko to z krzykiem, hałasem, wesołością, a trochę i z łajaniem starszych, nie mogących nas od razu do porządku i cichości przyprowadzić. Nie obeszło się też i bez strachu, bo droga była wąska i urwista miejscami, konie żwawe, a stan-

greci, uczęstowani przy majówce tak, że pnie brali za cienie a cienie za pnie znowu.

Jednym razem, już wśród jazdy, słycać wielki krzyk i łomot: to wóz z naczyniem i porcelaną przewrócił się do góry kołami; szczęściem, że z pomiędzy rumowiska wypełznął zdrów i cały służący wuja, Aleksy, któremu polecono było czuwanie nad podróżnym kredensem. Przy świetle kagańców podniesiono jakoś wóz i resztki zastawy, poustawiano błyszczące od światła pochodni samowary miedziane i ruszyliśmy dalej, ale już powolniej i spokojniej teraz. Jakże się smaczno spało po owej przepysznej majówce, którą długo potem wspomniano!

X.

Ksiądz Biskup. — Choroba. — Nieszczęście. — Zmiana.

Miałam już lat dziesięć, gdy na uroczystość Św. Anny przybył do kościoła naszego ksiądz biskup Żytomierski (X. Kasper Borowski) a po wspaniałem nabożeństwie, miał się odbyć obiad u hr. Leona Krasińskiego, na który rodzice moi byli proszeni. Była to razem 13-sta rocznica ich ślubu, ale ojciec, cierpiący właśnie, położył się do łóżka i tylko chciał wyprawić mamę ze mną, żebym ucałowała rękę szanownego biskupa, który pytał o zapamiętaną z dawnej jeszcze bytności „Niunie“.

Już przynoszono świeżą, białą, haftowaną sukienkę, w której wystąpić miałam, z dwoma spuszczonei warkoczami, a miałam ogromne włosy, tak, żem ich prawie udźwignąć nie mogła, gdy mama, zaniepokojona cierpieniem tatuńcia, powiedziała stanowczo, że nie pojedzie i zostaliśmy wszyscy w domu. Nazajutrz i kilka dni jeszcze ojciec nie podnosił się z łóżka, dostał silnej gorączki, ale wezwani lekarze nie mogli poznać choroby jego.

W tydzień prawie od uroczystości, ciocia zaprowadziła nas oboje z braciszkiem na Krzyżową górę, skąd przynieśliśmy całe pęki kwiatów; weszłam z bu-

kietem do ojca, który, jak zwykle, błogosławił nas na dobranoc, lecz nie ucałował z obawy gorączki. Mama czuwać miała przy chorym, my oboje poszliśmy do jej pokoju spać, jak zawsze. Braciszek usnął, ale mnie dziwny jakiś trapił niepokój i smutek: modliłam się, płakałam, nareszcie zdjawszy obrazek Matki Boskiej ze ściany i ułożywszy go przy poduszeczce, usnęłam także. Nagle wśród nocy budzę się i słyszę głos ojca, który się skarży, że ciemno, że dym jakiś w pokoju, słyszę, jak wynoszą z jego pokoju nasz bukiet, potem coś, jak gdyby jęk mamy i znowu cicho... Zrywam się z łóżeczka, biegnę i widzę ojca naszego bez życia, a mamę omdloną na fotelu obok. Skonał w chwili, gdy przełknął podane przez nią lekarstwo, cicho, bez jęku nawet.

Mamę wyniesiono, ja odejść nie chciałam od zwłok ojca, widziałam nawpół nieprzytomna, jak wszedł ksiądz i przeżegnawszy martwe już ciało, zniknął. Potem stary nasz służący Ignacy wyniósł mnie z pokoju do mamy, którą trzeźwiono ciągle. Nadbiegła obudzona wśród nocy pani M. *) matka chrzestna moja, później nadeszli przyjaciele rodziców. Jakże smutno i straszno mi było: tatuńcio kochany już nie żył, mama bez przytomności, nie mogła słowa przemówić, ona, co dotąd ani na chwilę o nas nie zapominała. Stałam jak osłupiała w drzwiach od ogrodu i pierwszy raz w życiu widziałam, niby przez sen, jak na różowe niebo występuje wschodzące słońce — dzień pierwszego w mem życiu *nieszczęścia!*

*) Miłaszewska.

Nazajutrz odbyła się eksportacja zwłok, później uroczysty pogrzeb ojca. Pamiętam, jak mi wkładano żałobną sukienkę, jak na drodze zabrzmiała muzyka (przysłana przez hr. Leona Krasickiego), jak w miasteczku wszystkie sklepy pozamykano i nawet żydzi niektórzy przyłączyli się z daleka do orszaku, jak sieroty z zakładu dobroczynnego (utrzymywanego przez panią Talkową, przyjaciółkę rodziców moich), postępowały z krepowemi przepaskami w białych sukienkach, ale w tej bolesnej chwili wszystko, jak sen, przesunęło mi się przed oczami.

Odtąd zdawało mi się, że przestałam być dzieckiem, że mam powinnam pomagać we wszystkim mamie naszej biednej, która przy słabem zdrowiu swem i wątplych siłach została jedyną naszą opiekunką. W życiu naszym dużo się zmieniło: zostaliśmy wprawdzie w domu własnym, ale połowę jego odnajęto, konie sprzedano i większą część służby odprawiono. Bolesnie było patrzeć na sprzedaż i wynoszenie rozmaitych sprzętów: wiele to rzeczy mama rozdała na pamiątkę przyjacielom ojca. Potem przyszła długa zima, wśród której z wielkim zapałem wzięłam się do nauki, szukając w niej pociechy i rozrywki.

XI.

Wielka podróż. — Wyjazd. — Kałamarzyki. — Żydkowie. —
Noclegi. — Kaprysiki. — Przygody. — Tulczyn.

W roku następnym po śmierci ojca mego zaszła w życiu naszym ważna okoliczność, a mianowicie odległa podróż do gubernji podolskiej, do siostry mamy a ukochanej naszej cioci Antonilli i jej męża, zacnego wuja A. R. *). Trzeba pamiętać, że wówczas jeszcze koleji żelaznych mniej daleko było, niż teraz i my całą długą, bo prawie 60 milową podróż odbyć musieliśmy końmi. Ile to miesięcy marzyło się i przemyślało o tej podróży, mówić nie potrzebuje nawet, bo któż z nas młodziutkich nie cieszył się nadzieją widzenia drogich osób, miejsc nieznanych, doświadczenia przygód, a choćby tylko różnaitości, zmiany tak pożądaney w dziecięcych latach?

Nareszcie wiosną, w kwietniu, stanął na podwórze naszym duży kryty kocz, we środku ciemno-zielonem suknem wybity (woził on podobno rodziców moich do ślubu) i obładowany mnóstwem pakunków. Oprócz dwóch ogromnych waliz, z tyłu przymocowany był tłumok skórzany z pościelą i innymi przyborami, opasany łańcuchem, na kłódkę zamkniętym, dla bezpieczeństwa

*) Adolf Roszkowski.

od złodzieji, bo miało się i przez wielkie lasy przejeżdżać. W wigilję wyjazdu my oboje z mamą uklękliśmy w kościele, biorąc błogosławieństwo na podróż, której z pewnem wzruszeniem i trwogą oczekiwaliśmy; dom opróżniony na kilka miesięcy poruczyliśmy opiece Boskiej i przyjaciół-sąsiadów, którzy gromadnie zebrali się na pożegnanie, i wreszcie czterema pocztowymi końmi, przy odgłosie dzwonek, wyruszyliśmy daleko w świat.

W powozie, prócz nas i zapasów do jedzenia, mieściła się służąca nasza Teresa, zatrwożona drogą, jaka ją czekała, bo to wtedy ludzie nie byli tak ruchliwi i odważni, jak teraz, kiedy lada chłopiek „maszyną“ pędzi do Warszawy, Kijowa, Lwowa, i gdzie mu się żywnie podoba. Ja pamiętam, że na wzór podróżników, o których nieraz czytałam, zaopatrzyłam się w dziennik do zapisywania wrażeń podróży i spostrzeżeń rozmaitych, a w rękę trzymałam woreczek, napełniony „niezbędnymi“ przyborami, między którymi, oprócz napałstka, nici, książki do nabożeństwa i t. d. i t. d. znajdował się podróżny kałamarzyk, pióro i ołówek. Ach! te kałamarzyki podróżne, niby hermetycznie zamknięte, ileż mi one w ciągu lat młodocianych i licznych podróży moich przysporzyły zmartwienia i kłopotu, otwierając się bez żadnej widocznej przyczyny w głębi kufereków, torebek i t. d., a czasem wskutek niewytłomaczonych dla mnie procesów chemicznych, wyrzucając strugi czarnego atramentu na batystowe chustki do nosa i inne, nie potrzebujące tego malowidła przedmioty!... A nie mogłam się wyrzec tego ulubionego przyrządu,

dopóki po wielu latach, nauczona bolesnemi doświadczeniami, nie zaprzestałam wreszcie kłaść kałamarzyków do kuferka z rzeczami.

Ale wracając do podróży naszej, była ona przyjemną i urozmaiconą. Przez okna powozu przyglądałam się pięknym wzgórzom wołyńskim, pokrytym świeżą wiosenną zielonością; to nad brzegami stawów podziwiałam bociany, poważnie się przechadzające po odbyciu odleglejszej jeszcze niż nasza podróż; czasem sunęliśmy się powoli długą błotnistą grobelką, a dzwonek rzadko tylko dźwięczał na szyji mozołnie kocz nasz ciągnących koni, bo droga, chociaż pocztowa, nie była nawet bitą, czyli szosową w owej okolicy. Słupy, malowane ukośnie w czarne i białe pasy, z numerami u góry wskazywały odległość jednej stacji od drugiej, obliczoną na wiorsty. Co 15 lub 20 wiorst następowała zmiana koni przed małym domkiem, na ścianie którego widniał orzeł dwugłowy *), a na ganku pan pocztmistrz lub pisarz z czerwoną opaską i gwiazdką u czapki. Zresztą Kraszewski nasz i Korzeniowski tyle razy opisywali te stacje pocztowe w zapadłych kątach Wołynia lub Polesia, że się bez moich szkiców obejdzie, a dzienniczek, w którym ze wszelkimi szczegółami kreśliłam spostrzeżenia, na szczęście gdzieś splonął i nie dostanie się do rąk żadnych czytelników.

Jechaliśmy tedy przez Teofilpol, Lityn, Winnice, Stary Konstantynów i inne miejscowości, znane dobrze z historji wojen kozackich lub napadów tatarskich, ale do oglądania nic ciekawego nie przedstawiające. Niskie

*) Herb państwowy rosyjski,

ich domki zdawały się kąpać w gęstem, czarnem lub czekoladowem błocie, a gromadki wyglądających żydeków, tak zwanych „myszuresów“ z gorączkowym pośpiechem goniły za powozem, wieszając się niekiedy u stopni i drzwiczek, chwytając za uprzęż koni, byle tylko „Jaśnie Państwa“ zabrać do swojego „zajazd“ gdzie „wszystkiego można dostać“ i „ślicznych łóżków na noc“ i tym podobnych doskonałości. Zwykle jednak perswazje mamy, a bardziej jeszcze batóg pocztyljona uwalniał nas od zbyt gościnnych tych zaprosin, i dążyliśmy wprost na stację pocztową.

Nie powiem, żeby i tam nocleg był bardzo zachęcający, ja też sobie wypraszałam pozwolenie zostania w powozie, gdzie przynajmniej na czystych i miękkich materacach zdrzemnąć się można było, a potem raniutko po herbacie wyruszyć dalej. Czasem z zapasów naszych podróżnych przyrządzała się smaczna potrawka z kury, a do tego kaszka; najulubieńszą jednak zawsze dla mnie była herbata, byle ze śmietanką i z tego to ostatniego powodu nieraz wynikał kłopot, bo nie wszędzie można było dostać tej zaprawy, którą po rosyjsku nazywać się nauczyłam („sliwki!“) żeby się porozumieć łatwiej ze służbą na stacjach pocztowych. Do drugiego jeszcze kaprysyku ze wstydem przyznać się muszę: oto nie mogłam się zdecydować do jedzenia za pomocą innej łyżki, jak srebrna i odrazu traciłam apetyt, gdy wypadało posługiwać się żółtą „neusilberową“, jak tam je nazywano. Znalazłby się pewno trzeci i czwarty grymasik, a może więcej jeszcze, ale wołę o nich zamilczeć, a tylko na usprawiedliwienie swoje

przytoczę, że będąc delikatnego zdrowia, doznawałam może za wiele pobłażliwości pod tym względem, i że do tej pory wstydę się rozmaitych swoich dawnych kaprysów. Pozwolę też sobie dodać, że dobrze byłoby, żeby młode panienki od czasu do czasu jadły nie srebrnemi łyżkami i pijały herbatę bez śmietanki, dla przyzwyczajenia się zawczasu.

Tymczasem w podróży naszej przybyliśmy na granicę gubernji podolskiej*), gdzie zobaczyłam wielki muryrowany słup, który minęłam z pewnem wzruszeniem, jak gdybym do nowej, nieznaney krainy wjeżdżać miała. Tu już i trawka wydawała się zieleńszą, i powietrze czystsze, aż wreszcie niedaleko Braclawia sine wody Bohu przebywać nam wypadło i to *na promie*, pierwszy raz w życiu. Nowe wzruszenia, trochę niepokoju, bo dużo podwód natłoczyło się na pomost, a nasza czwórka stać nie chciała, grzebiąc ciągle ziemię (a raczej deski) i pobrzękując dzwonkami. Wreszcie prom przybił do brzegu a kocz nasz, stuknąwszy mocno o próg ciężki, wytoczył się na ląd. Dzień to jednak był fatalny, bo wkrótce ujrzeliśmy przed sobą ogromną górę, u stóp której rozciągał się staw szeroki, grobelką przerznięty. Ziemia rozgrzęzła była od deszczu wiosennego, i konie z trudnością ciągnęły po śliskiej glinie; widziałam, że mama nasza niepokoi się, ale odważna, jak zwykle, nie chcąc nas przerażać, nie okazuje tego, tylko odmawia z nami „Pod Twoją obronę“.

Nagle wśród góry konie ślizgają się, zatrzymują, potem, pociągnięte ciężarem pakownego powozu, zaczynają się cofać, a za nami — woda!... Wyskoczyć niepo-

*) W oryginale było: „Zielonej Ukrainy“.

dobna, drzewiczki zamknięte, powóz się sunie, konie dęba stają i bardzo, bardzo straszno nam się zrobiło! Wtem „jemszczyk“ (pocztyljon) jak stanie równemi nogami na koźle, zebrawszy lejce, jak krzyknie jakimś nieludzkim głosem na konie, jak zatnie biczem wszystkie cztery razem, w jednej chwili galopem rzuciły się pod górę i w kilka sekund już byliśmy na wysokości, a brodaty woźnica zęgnął się głośno po swojemu trzy razy, powtarzając „Sława Hospody Bohu“. Mówił nam potem, że mu się zdawało, iż to ostatnia godzina przyszła i wtedy to tak straszliwie krzyknął na konie; wyratowały nas i siebie poczciwe zwierzęta, ale para buchała im kłębami z boków, tak się wysiliły. Mama naturalnie suty napiwek ofiarowała naszemu „jemszczykowi“ a ja, ochłonawszy ze strachu, w myśli już układałam porywający opis do dziennika podróży.

Bez przygody przyjechaliśmy do Tulczyna, dawnej rezydencji Szczęsnego Potockiego, który tam niegdyś przemieszkiwał z całym dworem swoim. Tam to Trembecki Stanisław, poeta dworak, układał swoją „Zofjówkę“ a setki rezydentów otaczało pana wojewodzica, bawiąc go pochlebstwem lub żarcikami, jak Tomaszewski, Hulewicz, Chrząszczewski i inni. A rozrywać pana często trzeba było, bo mu od śmierci pierwszej żony, nieszczęsnej Gertrudy Komorowskiej (Marji Malczewskiego) smutek jakiś zalegał serce, dopóki gorszy robak nie wgrzył się w sumienie. Ale wtedy, przyznając się, że nie wiele rozmyślała o Szczęsnym Potockim, bo o cztery mile od Tulczyna, a właściwie o trzy długie ukraińskie mile, już były upragnione Kozińce, cel naszej podróży.

XII.

Przyjazd do Koziniec. — Powitanie. — Pan profesor. — Złoty medal. — Stasiowie. — Arytmetyka i zajęc. — Polowanie. — Las. — Garbusek.

Jakże mi się żywo przypomina przyjazd nasz do Koziniec: tyle lat marzyć o widzeniu ukochanych krewnych, tej ciotki, którą mama kochała i szanowała, niby matkę, zacnego wuja naszego, Wandzi, która dom nasz przez rok blisko ożywiała i rozweselała, i tej Luteczki, do mnie wiekiem zbliżonej, a nieznanej prawie, chyba z listów, jakie pisywałyśmy do siebie i opowiadań o tej pieczęsoszce rodziców. Był tam i narzeczony Wandzi*), który napozór wydawał się poważnym panem profesorem, ciężko uczonym, a tymczasem, jak się pokazało, nietylko umiał rozmawiać z nami dziećmiakami, ale figle takie wyprawiał, żeśmy się zanosili od śmiechu nieraz

*) Prof. Aleksander Szumowski, geograf. Po ożenieniu się zamieszkał z żoną w Kijowie, zaraz jednak w pierwszym roku po ślubie, za udział w przygotowaniach do powstania 1863 r. (w redagowaniu t. zw. „złotej gramoty“) zesłany został do Orenburga pod Uralem. Towarzyszyła mu tam młodzianka żona i matka staruszka, p. Szumowska, która o mało nie utonęła przy przejeździe w bród jednej z rzek rosyjskich, gdy panie musiały wysiąść z „tarantasu“, którym odbywały podróż, i przeskakiwać pieszo z kry na kry.

Umarł w Warszawie 1891 r. Tablica pamiątkowa w koście. św. Krzyża.

z jego powodu. Potem znów z pomocą atlasów i rycin rozmaitych, zgromadziwszy nas około wielkiego stołu, jak zaczął wykładać coś z geografji (której, prawdę powiedziawszy, dotąd nie bardzo lubiłam) tośmy wszyscy starsi, młodszy i mali nawet, nie mogli się oderwać od słuchania.

Ale nie o geografji teraz mówić chciałam, lecz o przywitaniu naszem. Dziś jeszcze widzę niby przed oczami ów dworek biały i dwie grusze przed gankiem, okolone darniowemi ławeczkami, i trawnik zielony, a wśród tego radosną gromadkę ukochanych naszych i zdaje mi się, że słyszę te okrzyki radości... My dzieci przechodziliśmy z jednych objęć do drugich, mamie łzy duże po twarzy spływały, a ja się zdziwiłam, bo wtedy jeszcze z radości nie płakałam, ale się śmiała. Braciszek mój znalazł się w jednej chwili na ramionach przyszłego szwagierka, który go „Muszką“ nazwał, tak trafnie, że mu na długie lata został ów przydomek.

Nowe życie rozpoczęło się dla mnie od przyjazdu do Koziniec: stęskniona za rodziną i pozbawiona towarzystwa dziecinnego, gdyż braciszek młodszy nie był stosownym dla moich zabaw towarzyszem, teraz rozkoszowałam się siostrzyczką, którą całym sercem pokochałam. Była tam i rówieśniczka jej Idalka *), która chociaż poważniejsza, za co ją nieraz prześladowałyśmy, brała udział we wszystkich zabawach. Ciotka, która, jak mi się wówczas zdawało, „po spartańsku“ wychowywała dzieci swoje, wpłynęła też niemało na moje wychowanie i zdaje mi się, że to na dobre wyszło: pieczęszone

*) Rabcewiczówna (późn. Lawińska) również córka Sybiraka.

i wygodkami otaczana jedynaczka troszkę w kąć poszła, mniej się nią zajmowano, mniej wypytywano o to, co by chciała zjeść lub wypić, a za to więcej dano swobody i bujania po świeżem powietrzu w luźnej płócienkowej sukience. Z początku strasznie się zmartwiłam na wieść, że nie będę sypiać w mamy pokoju, ale wkrótce przekonałam się, że tak nam wesoło w kąciku, gdzieśmy wszystkie trzy na świeżych posłaniach z siana się mieściły, że zapomniałam o niepokojach i strapieniach wszelkich. Raz wprawdzie zaczęłam łązy ronić, nie znalazłszy ulubionego „jaśka“ pod głową, ale zobaczywszy, że Ludka i Idalka obchodzą się bez takowego, wstydziłam się przyznać do mego rozpieszczenia.

Tak bywało nie z jedną rzeczą i nie wszystko równie łatwo przychodziło, ale po kilku miesiącach pobytu na wsi, tak wyrosłam i zmężniałam, że mnie nawet nie poznawano za powrotem do Krzemieńca. A wiele to rozmaitości zmieściło się w przeciągu tych sześciu miesięcy! mogłabym opowiadać bez końca, ale trzeba poprzestać na rzeczach ważniejszych. Do takich zaliczyć wypada przyjazd ze szkół z Kijowa brata ciotecznego, Stasia *), który wracał ozdobiony złotym medalem i od tego czasu był dla mnie przedmiotem admiracji, połączonej z żywym przywiązaniem. Szanowny braciszek zaczął dawać lekcje arytmetyki i historii obu nam z Lutką, przyczem niejedno słówko zachęty lub pochwały mi się dostało, potem zaś biegaliśmy się bawić w zajęcia, czarownicę i t. p. gry ruchliwe. Profesorowie i uczniowie gonili się i uciekali z niezrównanym za-

*) Stanisław Roszkowski p. wyżej przypisy do str. 54.

palem, krzykiem i śmiechem; w ogródku pełno było róż i wonnych lilij białych, potem zaczęły dojrzewać jagody i owoce.

Na wakacje przybył i kolega Stasia, także p. Stanisław *), celujący uczeń, a mimo współzawodnictwa, wierny jego przyjaciel. Odbywaliśmy odległe przechadzki po trakcie wysadzonym starymi drzewami, wśród których ustawiono po raz pierwszy słupy telegraficzne, a dla rozmaitości skakaliśmy na wyścigi przez rowy, kto prędzej i lepiej. Czasem jechaliśmy do lasu na kilka godzin, a tam dwaj Stanisławowie ze strzelbami wybierali się na turkawki; ja zaś towarzyszyłam im, wyobrażając sobie, że jestem jedną z owych dam, o których w powieściach Walter-Skota czytałam, przyczem oczekiwалам zawsze jakichś nadzwyczajnych przygód. Przygody się jednak nie zjawiały, a widok skrwawionej turkaweczki, która z drzewa spadła od strzału jednego ze Stanisławów, ostudził nawet we mnie zapał myśliwski i odtąd wołałam sama zapuszczać się w gęstwiny.

Dziwny bo ma urok las zielony, szumiący, pełen woni i śpiewu ptasząt, taki świeży, a razem tajemniczy, że się w nim zapomina o reszcie świata i rozmaite historie po głowie się snują i chciałoby się tam pozostać na zawsze!.. Ale wesołe śmiechy i nawoływania towarzyszek wyrwały mnie z tych dumań i wkrótce jako „zając“ lub „myszka“ uganiałam się znów między drzewami. Kiedyś, pamiętam, wywróciłyśmy dzban wybor-

*) Szperl, ojciec obecnego prof. politechniki warszawskiej Ludwika Szperla, a późniejszy powstaniec w 1863 r.

nego chłodniku *), przygotowanego na obiad w lesie, a wysypane zeń szyjki rakowe, jak kwiaty ubarwiły zieloną murawę, w dodatku zaś mamy nasze nie wiedziały na kogo się gniewać. Towarzyszyła nam w tych wycieczkach i biedna panna Paulina, krawczyni, która przez kilka miesięcy pracowała nad wyprawą Wandeczki; maleńka, garbata, o bujnych blond włosach, miała tak smutne i łagodne oczy niebieskie, zem ją polubiła odrazu i nawet całe życie zachowałam sympatję dla garbatych; ona też była dla mnie łaskawą, rozmawiała i deklamowała piękne wiersze, których mnóstwo umiała na pamięć. Zdaje mi się, że garbatym Bóg wynagradza ich kalectwo, dając duszę piękną najczęściej, bystre pojęcie i serce czułe; takich przynajmniej wielu w życiu mojem spotkałam.

*) Chłodnik, czyli *chłodziec*, wyborna zupa zimna z boćwinką, rakami, twardemi jajami i kwaśną śmietaną zaprawiana; ją to właśnie w „Panu Tadeuszu“ milczkiem, żwawo zajadano. (Przyp. autorki).

XIII.

Wesele. — Chaty i młodycie ukraińskie. — Mały bohater. — Jazda triumfalna. — Kolonje na wsi. — Figiel.

W końcu czerwca nastąpiła bardzo dla nas ważna uroczystość wesela Wandzi, na które zjechała się rodzina ze wszystkich stron kraju: byli goście i z zagranicy nawet, a tyle się ich zgromadziło, że dla pomieszczenia trzeba było zająć kilka chat włościańskich. Tu muszę powiedzieć, że lud ukraiński bardzo mi się podobał. Chłopi rośli i dzielni, młodycie zgrabne i roztropne, a takie śpiewne, że przy każdej robocie rozlegają się ich smętne dumki i płyną daleko po łąkach i polach. Chaty ich bardzo porządne, bielone, zewnątrz przyźbą otoczone dokoła, w środku ławami przy ścianach biegącemi; wszędzie kominy i piec duży, zwany leżanką, gdzie kilka osób, w zimie zwłaszcza, doskonale znajduje poślanie. U pułapu główna belka jest malowana, a raczej politurowana ciemno i pokryta napisami w cerkiewnym języku (zwanym *kirylicą*). Na półce u góry mieszczą się naczynia i często miski drewniane ruskie, pięknie malowane. Kobiety głowy zawiązują kolorowemi chustkami, z końcem długo puszczoneym z tyłu, a koszule ślicznie wyszywają krzyżową robotą u szyi, rękawów i ramion (*połyki*); to tylko zabawnie,

że zamiast spódnic noszą tak zwane *zapaski*: jest to kawałek grubego, wełnianego niby sukna burego, czworoboczny, ciasno obejmujący biodra i nogi, i sięgający niżej kolan, bez żadnego szwu, tylko szeroką krajką u pasa obwiązany. Podobały mi się bardzo imiona kobiet ukraińskich: Sofija, Afija, Kilyna i t. p. i wogóle Ignęłam do ludu tego, tak, że się serdecznie ucieszyłam, gdy i nam przyszło na parę tygodni zamieszkać w chatce.

Gospodarze gościnni i dobrze usposobieni dla wujostwa (gdyż wuj nimi sprawiedliwie rządził a ciocia z córkami leczyła ich i odwiedzała w chorobie, nie żałując pieniędzy i dobrego słowa) przyjęli nas uprzejmie i odstąpili świeżo ubielonej izdebki, która wysłana dywanami i ozdobiona rozmaitymi sprzączkami, wcale ładnie wyglądała. Pamiętam tylko, że nasz Mucha, ulokowawszy się na noc na wysokiej leżance (na piecu), a będący zawsze niezmiernie żywego temperamentu, wyśnił sobie, że walczy z jakimś zbrojnym mężem *) i w całym impecie rzuciwszy się przez sen na dół, rozbił okropnie nos o ławę, na której znów ja miałam wysłane łóżko. Zrobił się wielki hałas, a gdy mama, zapaliwszy świecę, okładała wodą nos wojowniczego synka, on cały skrwawiony powtarzał: „ale zwyciężyłem, mamciu, zwyciężyłem!”. Mały nasz bohater został ozdobiony blizną na samo wesele, o którym wreszcie muszę opowiedzieć, nie odbiegając w prawo i lewo.

*) W rzeczywistości śniło się chłopcu, że tym zbrojnym mężem był car Piotr Wielki. Autorka, sądząc, że ten zabawny szczegół snu dziecinnego nie może być uznany za obrazę majestatu, pomieściła go w pamiętniku, ale cenzor kazał go zastąpić innym wyrażeniem.

Ślicznie to się wszystko odbywało: ku wieczorowi zebrała się na zielonem podwórzu gromadka włościan, w imieniu których stara Chłopczyniuczka, blisko już stuletnia staruszka, błogosławiła młodą parę naszą, a ci z uszanowaniem przed nią ukłękli. Potem wszyscy długim szeregiem ekwipażów jechaliśmy do kościoła, do Obodówki, o milę odległej. Prócz starszych, było nas z dziesięć małych dziewczynek, do których już się nie liczyła Lutka, występująca jako *drużka* wraz z ciotką Helenką (młodą jeszcze i wesołą niezmiernie). Nie będę opisywała strojów, między którymi najwspanialej się odznaczał ubiór ciotki Klimeny J.*), świeżo z Paryża przybyłej i bardzo pięknej, mimo lat już niezbyt młodych; na to bowiem nie wiele zważaliśmy wszyscy, zajęci uroczystą i rozrzewniającą ceremonją ślubu.

Gdyśmy wracali, było już ciemno, a wieśniacy okolicznych wiosek wszędzie pozapalali ogień, przy których młodą parę chlebem i solą witali. Uroczysto wyglądała Wandzia nasza w białej, powiewnej sukni, z welonem i wieńcem u czoła; nie mogłam też oczu od niej oderwać i sama nie wiedząc czemu, rzewnie płakałam. Za powrotem do domu, gdzie cały dziedziniec i ogród oświetlony był kolorowemi lampkami, przyjęła państwa młodych umyślnie w domu pozostała ciotka nasza, Lucja R.**), podając chleb i sól na tacy, ozdobionej kwiatami, a że domek był za szczupły na liczne grono, z samej prawie rodziny złożone, udano się do sali umyślnie urządzonej. Była to... wozownia, wybielona i tak

*) Janakowska (babka p. Mehofferowej żony malarza, prof. Akad. Szt. P. w Krakowie).

***) Rucińska.

przystrojona zielenią i kwiatami, że wyglądała jak wspaniała sala, nawet sufit dorobiono z zieloności. Kolaćka czekała suto zastawiona i przygotowana przez służbę pana B.*), właściciela wiosek, przez wuja zarządzanych i kilkunastu innych; przysłał on kuchmistrzów swoich i całą zastawę dla uświetnienia weselnej uroczystości i oszczędzenia cioci kłopotu, wszystko też szło jak z płatka. Na podwórzu znów zastawiono stół dla wiejskiej gromady, dla której też później rozpoczęły się tańce na trawniku.

Nasze towarzystwo zabawiało się spokojniej, tylko młodzież wmięszala się do wiejskiej drużyny: ja jeszcze w pół-żałobie, przypatrywałam się obojętnie zabawie. Nie myśleliśmy wtedy, że wszystkim nam przyjdzie się rozproszyć znów w rozmaite strony; mnie się zdawało, że jestem jak w raju pośród tylu krewnych, po części nieznanym, a jednak ukochanych, dzięki opowiadaniom mamy naszej. Między innymi cieszyłam się licznym gronem kuzynów i kuzynek S.**), gdzie obok czterech braci dzielnych, znajdowały się śliczne dwie siostrzyczki, a wszystko już były bez matki sieroty, pod opieką zacnego ojca przybyłe.

I wiele miłych dni wśród nich nam upłynęło: co tam było śmiechów i zabaw, zwłaszcza wieczorem, gdy się zaczęło odprowadzanie do chatek, zajmowanych przez rozmaite kółka; jedni drugim towarzyszyli i znów byli odprowadzani nawzajem, tak, że jeszcze nieraz

*) Borkowski.

***) Syroczyński, w parę lat potem powstańcy w 1863 r. — Leon, najstarszy, był później rektorem politechniki we Lwowie, umarł w 1925 r.

długo po północy rozlegały się śmiechy, śpiewy i figle rozmaite. A znów w razie deszczu zajeżdżały wozy drabiniaste, na których kuzynkowie stojąc powozili, odstawiając każde gronko na miejsce przeznaczenia i figle przytem rozmaite wyprawiając. Nie mogę się powstrzymać, żeby tu jednego z figłów wówczas wyplątanych nie opowiedzieć, chociaż skutek jego był dość niefortunny.

W jednej z chatek mieściły się dwie ciocie: Zosia i Helenka; ta ostatnia dowcipna, pełna conceptów, miała żywą niezmiernie wyobraźnię, która jej samej nie mało przysparzała kłopotu, zwłaszcza przy słabych nerwach i delikatnym zdrowiu. Nieraz opowiadając innym jakieś straszliwe historie, sama się nimi tak przejmowała, że drżąc i blednąc bliską była omdlenia. Kiedyś, gdy złośliwy kuzynek rzucił jej na rękę żabę z chleba ulepioną, tak się przelęknęła, iż dostała febry, której przez kilka miesięcy pozbyć się nie mogła. Otóż ta wrażliwa ciocia, po długich odprowadzaniach, żartach i śmiechach, wystraszywszy nas wszystkich mniemanymi głowami opryszków, niby to się pokazującymi z za węgla chaty lub z za drzewa, została sama z towarzyszką tylko, stryjeczną swą siostrą, w chatce dla nich urządzonej.

Rozmawiając ciągle i śmiejąc się, już się rozbiegały i ciocia Helenka właśnie rozpinała sznur koralu na szyi, gdy nagle usłyszała jakiś szelest przy łóżku swoim. Obraca się przerażona i ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt, chwytła siostrę za rękę, wołając: „Zosiu! widzisz, jakaś głowa! naprawdę głowa“!... i drżąc roz-

rywa korale, które z trzaskiem rozsypują się po ziemi. Zosia myśląc, że to jeszcze żarty, śmieje się, ale mimowoli rzuciwszy okiem na ścianę, widzi jak dywan przy łóżku przybity podnosi się coraz bardziej, rysując kształt głowy ludzkiej, wydobywającej się niewiadomo skąd. Wówczas obie ciotce razem przeraźliwy krzyk podnoszą, na który obudzona gospodyni chaty wybiega z „koromysłem“ (drag do noszenia wody wiadrami) potężnym, żeby zagrozić drogę mniemanym złoczyńcom. Na szczęście w samą porę już na podwórzu poznaje z kim ma do czynienia i dla uspokojenia woła: „To nasi panyci“. Ale ciocia Helenka nieprzytomna już ze strachu krzyczy: — „Słyszysz — rozbójnicy“!... i bez duszy pada na ziemię. Mniemani rozbójnicy pospieszyli z ratunkiem, ale przez godzinę przeszło nie mogli się docucić biednej ciotki, nie umiejącej nad nerwami swemi panować, a parodniowa choroba przytrzymała ją później jeszcze w łóżku, gdzie odbierała kondolencyjne wizyty całego naszego towarzystwa.

Sprawcami tej przygody byli właśnie: nasz medalowy, poważny Staś i młody wuj jego Wilhelm. *) Pożegnawszy się z ciotkami, wracali do siebie, gdy im nagle przyszła myśl pusta postraszenia tej, która wszystkich straszyla przed chwilą; a trzeba wiedzieć, że w chatach wiejskich bywa często maleńkie niby okienko bez szyb w ścianie, do zaglądania czasem na ogród lub pola. Otóż i tu znajdowało się podobne okienko, zatkane słomą i zakryte dywanem, przy którym stało łóżko ciotki Helenki. Nasi panowie niewiele

*) Pfaffius.

myśląc, cichaczem z tyłu zaszedłszy, wetknęli laskę przez otwór, a ta wypchnąwszy słomę wydała się z poza dywana jak duża głowa lub postać jaka. Usłyszawszy krzyk, figlarze chcieli się pokazać, ale nagle wyskoczyła na nich baba z koromysłem i o mało nie dostali po głowach własnych dobrego traktamentu. Na szczęście księżyc przyświecał i waleczna gosposia w porę poznała swoją pomyłkę; tylko biedna ciocia przechorowała tę przygodę, a kuzynkom odechciało się figlów na długo.

XIV.

Podróż po stepie. — Błądny rycerz. — Włosy moje. — Step. —
Zofjówka.

Z Koziniec wybraliśmy się, to jest mama z nami dwojgiem i cicią Helenką, na parę tygodni do wuja W., *) który mieszkał ze siostrą swoją w miasteczku Hołowaniewskim, niedaleko Humania. Podróż dziesięciomilowa, zdaje mi się, odbywała się w naszym poczciwym, ciemnozielonym koczku, do którego najęto wiejskie konie z woźnicą, noszącym tak dziwaczne miano, że je do dziś dnia pamiętam: nazywał się Nechtodij. Po drodze odbyliśmy odwiedzin i nocleg w domu p. Br., których dwie córeczki bardzo mi się podobały i obdarzyły mnie mnóstwem maleńkich różnokolorowych muszelek z Bohu. Był także mały ich braciszek w habitcie zakonnym, co mnie niezmiernie bawiło.

Wyruszyliśmy stamtąd dość wcześnie, aby przed nocą zajechać na miejsce. Że jednak człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi, rumaki zaś nasze, flegmatycznego temperamentu, wcale nie przypominały owych biegunów stepowych, o których śpiewają poci ukraincy, więc się ściemniało na dobre, a Hołowaniewska ani widać nie było. Okazuje się wreszcie, że nasz Nechtodij

*) Wilhelm Pfaffius.

w geografji kraju rodzinnego wcale niebiegły, a przytem „kurzą ślepotą“ (kiedy po zachodzie słońca nie się nie widzi) obdarzony, nie wie nawet, gdzie się znajdujemy. W około step głuchy, ani żywego ducha, konie pomęczone odmawiają posłuszeństwa: mama niepokojna, ciocia, nażartowawszy się do woli, oświadcza w końcu, że ma przecucie, iż wszyscy tu marnie zginiemy z głodu i znużenia, bo już zupełnie prawie zapasy podrózne wyczerpaliśmy, a tu znikąd rady ni ratunku!

Wreszcie wydobywszy i zapaliwszy w powozie jakąś świeczkę stearynową „żeby było raźniej“, ciocia, jęcząc i leżąc jak długa, intonuje godzinki. Landara nasza posuwa się żółwim krokiem, gdy nagle głuchy jakiś tętent przerywa pienie cici; nastuchujemy wszyscy — odgłos kopyt się zbliża, wreszcie jakiś mąż na białym koniu równa się z naszym powozem i zajrzawszy do wnętrza, uderzony zapewne oryginalnym widokiem przy świetle płonącej stearynowki, pytuje, czy może w czym pomóc.

— Ach! panie łaskawy — odpowiada ciocia słabym głosem — widzisz nas tu pan umierające z głodu, same z dziećmi drobnymi, ginące na stepie...

Przy tych patetycznych słowach, mama nie może ukryć uśmiechu, my się dusimy na dobre, ale nieznamy, wpatrzony w oblicze cici, bierze jej słowa za dobrą monetę i pełen litości woła:

— Dokądże panie jada? już niedaleko do miasteczka, do Hołowaniewska, ja się ofiaruję za przewodnika.

— Bardzo panu wdzięczne będziemy — odpowiada mama, gdyż ciocia, chcąc do reszty rozczulić nieznanego, jęczy z cicha, zawsze ze świecą w ręku — właśnie pragniemy dostać się do doktora P., mieszkającego w Hołowaniewskim, a nasz woźnica zbłądził i nie umiemy sobie poradzić.

Nieznamy puszca się przodem na białym koniu, Nechtodij zacina biczem swoje omdlewające rosynanty i dalej ciągniemy przez step.

— Widzisz Julciu — szepce ciocia — to moja świeca go zwabiła, tego błędnego rycerza, a widok mój tak go rozczulił: ja wam wszystkim życie ocale!

Tymczasem rycerz zbliża się znów do drzewczek i oświadcza, że skierował nas wprost do doktora R., który większej używa wziętości niż młody doktor P., a mieszka za miastem, więc bliżej nam do niego i spieszniej można będzie ratować chorą panią. Nowy przestach; ciocia teraz już wcale nie omdlewającym głosem usiłuje przekonać nieznanego wybawcę, że nam nie idzie o biegłość medyczną doktora P., ale o samą jego osobę. Nic nie pomaga, wybawca nasz perswaduje, że daleko lepiej udać się od razu do doktora R.

— Ależ panie — woła ciocia rozpaczliwie — my nie pacjentki, my siostry — (nie rodzone, ale tego ciocia nie dodała) — jesteśmy doktora P.!...

— A, to co innego! — rzecze nieznamy stronnik dra R. niedowierzająco patrząc na ciocię i jej świeczkę — ja sądziłem!...

Ale już dzięki Bogu światelka na stepie, słysząc psów szczekanie z daleka, to Hołowaniewskie i w pół

godziny może, wśród śmiechów i uścisków, opowiadamy wujciowi i cioci Zosi zabawną przygodę z błędnym rycerzem, który doprowadziwszy nas do bramy, zniknął równie tajemniczo, jak się był ukazał. Ciocia H. usiłowała nas przekonać, że to jakiś duch stepowy, zesłany na nasze wybawienie, nic bowiem o nim odtąd nie słyszano.

W Hołowaniewskim przyjemnie mi czas schodził: wuj i ciocia uprzejmi byli bardzo, robiliśmy też wybieżki w sąsiedztwo, a w gronie dzieci pp. Gł. znalazłam towarzystwo wesołe. Obok domu wuja, poza ogródkiem kwiatowym, ciągnął się duży, napół dziki sad czy gaj (bo parkiem nazwać tego niepodobna), w którym błądziłam z upodobaniem, rojąc sobie w głowie rozmaite historje. Cieszyłam się też bardzo ucięciem włosów, które ogromem swym ciążyły mi tak, że sobie z nimi rady dać nie mogłam, a że pozbawiona byłam wszelkich pretensyj, więc z radością zasiadłam na krześle, okryta jakąś białą oponą, a wuj z nożycami przystąpił, mama i obie ciocie stały obok i o mało, o mało nie nastąpiło odwołanie wyroku w stanowczej chwili. W końcu jednak nożyce zgrzytnęły i pęk ciemnych włosów spadł na ziemię; w tej samej chwili figlarna ciocia H. zawołała:

— Ach, Julciu! Julciu! pozbawiłaś swoją jedy-naczkę najpiękniejszej ozdoby!.. — dodając jeszcze żalu mamie, która długo się wahała przedtem.

Ja jednak wyskoczyłam wesoło na środek pokoju, potrząsając głową, która mi się tak lekką i swobodną wydawała. Dodać tu muszę, że mi później znów od-

rosły ogromne warkocze, których się pozbyć nie chciałam już wtedy.

Nad wieczorem odbywaliśmy długie przechadzki po stepie, którego wcale nie lubiłam; oku, przywykłemu do malowniczych gór Krzemienieckich, smutno było błądzić po tych pustych obszarach, gdzie nawet trawa szarawą jakąś barwę przybiera, a dla urozmaicenia jej nie było owych „koralowych ostrowów burzanu“ z krymskich sonetów. Zamiast „ciągnących żórawi“ i „motyla“ kołyszącego się na trawie, znajdowałam czasem szarańcze, te prawdziwe, straszne szarańcze, marudery jakiejś większej gromady i jedną z nich długi czas hodowałam w słoiku, a potem na pamiątkę przechowałam jej mumię z dziwnymi niby hieroglifami na skrzydłach.

Miasteczko posepnie się rysowało na tle stepu, ze swemi niskimi, odrapanymi domkami; wapno tam bowiem takie nietrwałe, że się zmywa za pierwszym deszczem, pozostawiając szarą, nieokreśloną barwę na domostwach. W dodatku mieszkańcy, lasów pozbawieni, używają do opału nawozu suszonego, z którego gęsty, a bardzo niemile woniejący dym się wydobywa i mgłą posepną otacza przedmioty. A może to mój duch młodziutki nie był jeszcze dostatecznie rozwinięty, by odczuć piękności stepu, ale i później doznawałam tam przykrego wrażenia. Dziwiło mnie także niedbalstwo mieszkańców, majątnych nawet, o domy: bogaci dzierżawcy lub właściciele wsi mieścili się w niskich, słomą krytych dworach, które szumnie oznaczano nazwą pałacu, jeżeli naprzykład znajdowały się w jednym z ma-

jątków dawnych magnatów ukraińskich np. hr. Potockich. Widywaliśmy dość często starą hrabinę Włodzimierzową P. *), której mąż tak się wsławił i młodo zginął 1809 roku, a pomnik mu na Wawelu postawiono; sędziwa pani ta była już wtedy dotknięta silną głuchotą, ale ożywiona i rozmowna. Hołowaniewskie także do niej należało i tam czasem w kościele bywała, a potem zajeżdżała do domu wuja na gawędę.

Nie spostrzegliśmy się, jak upłynął miesiąc i trzeba było myśleć o powrocie, tembardziej, że nas przed zimą czekała znowu podróż do Krzemieńca. Wuj i ciocia Zosia odprowadzili nas do Humania, gdzie zwiedzaliśmy uroczą Zofjówkę, ten śliczny ogród, niegdyś przez Szczęsnego Potockiego dla żony jego, Greczynki, założony i od jej imienia nazwany. Tam wśród stepu wznoszą się głazy, ręką ludzką naniesione, ze skał tryskają srebrzyste strumienie, błyszczą zwierciadlane jeziora i kwiatów różnobarwnych tysiące. Drzewa rzadkie, rośliny egzotyczne, grotty kamienne, wszystko to łączy się w czarowną całość i długo, długo nosiłam w pamięci obraz rozkosznej Zofjówki, tej oazy wśród stepów, opiewanej niegdyś przez Trembeckiego.

*) Potocką.

XV.

Powrót do Koziniec. — Walter Skott. — Tyfus. — Podróż do gub. wołyńskiej. — Lodowaty zamek. — Etykieta i stół wysoki. — Wspaniały zaprząg.

Pod koniec sierpnia wracaliśmy do Koziniec, skąd już powyjeżdżali ostatni, najpóźniejsi goście weselni, a my oboje z mamą jeszcze dni kilkanaście zabawić mieliśmy przed wyjazdem do gubernji wołyńskiej; inaczey się jednak złożyło. Dojeżdżamy późnym wieczorem, ale cóżto? po chatach wszędzie prawie się świeci, myśleliśmy, że to jaki *prażnik* (święto cerkiewne, uroczyście tam obchodzone) i spokojnie dążymy dalej. We dworze nie śpią także, wita nas ciocia, ale jakaś nie-swoja, trochę pomięszana; wkrótce okazuje się, że we wsi wybuchnął gwałtowny tyfus, w każdej chacie prawie leży ktoś i ze służby niejeden zachorował, więc trwoga, niepokój, krzątania około chorych. Ciocia H., pełna imaginacji jak zwykle, już nazajutrz chodziła z lusterkiem, opatrując język swój przy każdym oknie i twierdząc, że z białego staje się czarnym, jak w ostatnim stopniu tyfusu.

W parę dni zmuszoną była odjechać, ale mama została i pomoc jej okazała się bardzo potrzebną, bo wkrótce zachorowała moja ukochana Luta i towarzyszy-

ka jej Idalka. Nam dzieciom nie mówiono, że miały obie niebezpieczny tyfus, pomieszczono nas tylko oboje w odległym pokoju, a ciocia i mama każda po jednej chorej wzięła w swoją opiekę. W garderobie znów jęczała panna służąca i pamiętam, że nieraz jej podawałam napój lub okrywałam, gdy się rzucała majacząc w gorączce. Mama, jakkolwiek niezmiernie o nas troskliwa, w podobnych razach dawała przykład odwagi i poświęcenia, nie okazując nawet trwogi, chociaż ja miała w sercu. Przechodziły długie tygodnie, a nie wiedziałam, że obie panienki, a zwłaszcza Lutka moja, były w niebezpieczeństwie życia.

Zostawiona sobie poraz pierwszy w życiu, uczyłam się, pisałam, a potem długie godziny spędzałam w ogrodzie, pod drzewami ozłoconemi ślicznem, jesiennem słońcem. Tam to czytywałam Walter Skota w pięknym francuskim tłumaczeniu i z nim się przenosiłam w jakiś świat czarowny, zapominając o wszystkim, co mnie otaczało. Temu zajęciu, które mię pochłaniało, przypisać muszę ówczesną niedomyślność moją co do niebezpieczeństwa, grożącego ukochanym osobom; dość, że dopiero po wyjeździe z Koziniec dowiedziałam się, iż obie towarzyszki moje ciężki przebywały tyfus, a ciocia i mama, zmęczone ciąglem czuwaniem, nieraz już same zdawały się bliskimi tej choroby. Tym razem jednak Bóg nas uchronił. Braciszek mój tymczasem zabawiał się wybornie w towarzystwie młodego, a nadzwyczaj sprytnego chłopaka, służącego, który własnym pomysłem budował rozmaite fizyczne przyrządy, np. z dwóch spojonych trzcinek pompę do wo-

dy o jednym ramieniu krótszem itp. Dowiedziałam się, że później oddano Matwieja do szkół.

Późną już jesienią, bo w listopadzie, wracaliśmy do Krzemieńca, rankami szron biały okrywał ziemię, która dudniała pod kopytami koni. Zajechaliśmy razu pewnego na noc do domu pp. K. *) (ona sama była siostrą wuja z Koziniec) była to poważna rezydencja, niegdyś wspaniale utrzymywana i pamiętałam nawet z czasów dawniejszego dzieciństwa mego, jak pan K. uskarżał się rodzicom moim, że wskutek ciężkich czasów musi poprzestać na czterech kucharach, gdy pierwaj dwunastu miał we dworze. Teraz jednak musiało ich być mniej jeszcze, a dwór pański bardzo mi się wydał posępnym, gdy przy słabem oświetleniu (wprawdzie przez dwóch lokajów niesionem) powitali nas uroczyście oboje pp. K.

Do smutnego wrażenie przyczyniało się i to, że ogromne, wysokie pokoje, były wcale nie ogrzewane, a to dlatego, iż lekarz z zagranicy przybyły, p. W., zalecił w takiej atmosferze hodować synka pp. K. małego Manusia, który im jeden został po śmierci kilkorga dzieci. Chłopczyk o jasnych włoskach i delikatnej, przezroczystej cerze, w błękitnem futerku, ze smutną, poważną miną przechadzał się po lodowatych komnatach. Później, później ów Manio był moim uczniem muzyki, do której miał wiele talentu, nie posiadając już nawet środków do kształcenia się, potem został księdzem i młodziutko umarł na chorobę piersiową, o którą to właśnie tak się dla niego obawiano.

*) Kochanowskich.

Ale odbiegłam daleko, bardzo daleko od rzeczy. Wtedy ja jeszcze byłam małą dziewczynką i niezmiernie zażenowana grzecznością wyszukaną pana K., który, chociaż obdarzony już siwą brodą, zachowywał całą rycerską galanterję średnich wieków. Przypominam sobie, że znużona długą podróżą i słuchaniem rozmowy, przy której w dużym salonie siedzieliśmy wszyscy w futrach i berlaczach, musiałam się trochę zdrzemnąć, gdyż ulubiony woreczek podróżny, z którym się ani na chwilę nie rozstawałam, osunął się na posadzkę cicho. Byłabym tego wypadku nie dostrzegła, gdyby nie to, że szanowny gospodarz, powstając z miejsca swego i przeszedłszy znaczną część salonu, pochylił się ku ziemi i... wręczył mi z ukłonem moją zgubę. Czułam, że mimo lodowatej atmosfery, zrobiło mi się gorąco, jakby w łaźni; zacerwieniwszy się, podziękowałam i oburącz już przycisnęłam woreczek do serca, ale kiedyż się uda fatalizmu uniknąć! W kilka może w kilkanaście minut później, znów p. K. majestatycznie wstał z krzesła, przeszedł salon, pochylił się i podniósł mój nieszczęsny woreczek. Czyż potrzebuję dodawać, że oniemiała z przerażenia tak, iż nawet tym razem nie podziękowałam wcale i rozpaczliwie przycisnęłam woreczek do piersi, skostniałymi rękami; nie ręczę jednak, coby dalej nastąpiło, gdyby nie to, że nas wezwano na wieczerzę.

Pamiętam, iż zasiedliśmy przy wysokim stole białardowym, przykrytym jakimś błatem jeszcze, wskutek czego broda moja spoczywała na brzegu talerza, co także nie przyczyniało się do nadania mi swobodnej

postawy, zwłaszcza, gdy gospodarz domu poważnym swym, jak gdyby z pod ziemi wydobywającym się głosem, zadawał mi jakie pytanie, także przez grzeczność; przyczem parę razy o mało się nie udławiłam. W drugim pokoju na ścianach porozwieszana była piękna broń i myśliwskie przybory tak, że wszystko razem dziwnie mi przypominało świat z przeczytanych świeżo powieści Walter Skotta.

Nazajutrz po śniadaniu (także spożytem przy owym bilardowym stole) zjechał kocz nasz, ale wskutek gościnności gospodarza zaprzężony w ośm koni z forysiem (chłopakiem, z konia kierującym przednim zaprzęgiem). Zaledwie udało się mamie wyperswadować szanownemu p. K., że na pocztę niepodobna zjechać takim ekwipażem, gdyż pan „Smotrytel“ (poczmistrz) gotówby nas obdarzyć równą liczbą rumaków, co mogłoby podróż uczynić kosztowniejszą, niżby należało. Po długich certamentach, stanęło na sześciu koniach, które nas szczęśliwie dowiozły do Konstantynowa, zdaje mi się. Przyznać się tu muszę, że oboje z braciszkiem dumni byliśmy pokryjomu z tego wspaniałego zaprzęgu, co dowodzi wielkiej słabości natury ludzkiej, bo nawet gdyby był naszym własnym, nie dodawałby nam wartości, a cóż dopiero cudzy!... Żydkiwie jednak o mało nas nie rozszarpali w drodze, zapraszając do swoich zajazdów, co dowodzi, że i oni cenią pozory. W dalszej podróży nic nadzwyczajnego sobie nie przypominam, prócz miłych bardzo dni kilku, spędzonych w Nowym Stawie przed ostatecznym powrotem do Krzemieńca.

XVI.

Cicho znowu. — Nauka. — Skrzypce. — Ciężkie zmartwienie, pociecha i koniec.

W Krzemieńcu cicho nam znów życie płynęło; nad nauką dużo pracowałam z mamą lub sama, a szczególnie lubiłam rozmaite opisy lub wypisy, tak, że gdyby zebrać wszystkie przezemnie zagryzmołone zeszyty, utworzyłyby się, sądę, spora biblioteczka. W wolnych chwilach tłómaczyłam sobie rozmaite ustępy na polskie z francuskiego lub z niemieckiego na francuskie, dla zabawy. Prócz tego zaczęłam bardzo zważać na czystość mowy w rodowitym języku, co mi tem łatwiej przychodziło, że oboje rodzice pięknie mówili i dbali o to, by w nas od dzieciństwa zaszcześcić upodobanie do czystego i poprawnego wyrażania się. W Kozińcach zaś wuj, a mąż ukochanej ciotki, niezmiernie był wymagający pod tym względem i każdemu z obecnych poprawiał najmniejsze w mowie usterki. Później dopiero, poznając rozmaite okolice i różnych ludzi, przekonałam się, jak rzadkim jest przymiotem czysta, piękna, wolna od prowincjonalizmów mowa.

Co do muzyki, grywałam zawsze z p. Müllerem, który zaznajamiał mnie z klasyczną muzyką i przyzwyczajał do czytania nut odrazu: tak tedy grywa-

liśmy *prima vista* na 4 ręce Fugi Bacha, Requiem Mozarta, msze rozmaite Beethowena, Rossiniego i t. p., a nawet zaczął mnie staruszek uczyć na skrzypcach. Była to niespodzianka dla mamy, która kiedyś zaproszona na poobiednią gawędkę do państwa Müllerów, ujrzała nagle wchodzącą parę koncertantów t. j. białowłosego gospodarza ze skrzypcami w ręku, a obok swoją małą i nad wiek drobną córeczkę, również wywijającą smyczkiem. Wykonaliśmy łatwy jakiś duecik, potem nastąpiły uściski, łzy i śmiechy razem, a stary mój nauczyciel zacierał ręce z radości, że mu się tak udało, wkrótce jednak porzuciliśmy skrzypce, a ja pozostałam przy fortepianie, któremu później wiele, wiele miłych chwil zawdzięczałam.

Przedstawicielem znów szkoły romantycznej w muzyce był p. Tomasowicz, Illiryjczyk, choć mylnie uważany za Niemca w owych czasach, kiedy to jeszcze nie myślano i nie mówiono o drobnych słowiańskich narodowościach. Ten miał również swoje stronnictwo, urządził rozmaite wieczorki muzyczne, uwielbiał Liszta i Wagnera, a sam grał z wielkim impetem tak, że często struny pękały pod silną jego prawicą, czem się mocno gorszył mój poważny, klasyczny p. Müller.

Ze znajomych najczęściej może odwiedzaliśmy staruszkę p. P. *), która z córką swą, p. Martyną, mieszkała w domku ocienionym dzikim winem, i otoczonym ogródkiem, który wyglądał jakby jeden kosz kwiatów. W pokoju również były piękne rośliny, a także muszle, wazy porcelanowe i inne ładne rzeczy, które

*) Prószyńska.

mi się bardzo podobały; samą panią szczerze kochałam, chociaż niejedna reprimenda mi się od niej dostała w owych czasach, gdyż była żywego charakteru i lubiła wszystko od razu wypowiedzieć. Wogóle przypominam sobie, że najbardziej lgnęła do ludzi podeszłych w wieku, jak np. p. Antoni B. *), pani K., ukochany dziadunio Nowo-Stawski i inni, co mi nie przeszkadzało dowozić przy nadarzonej zręczności prawdziwie po dziecinnemu i rozmaite figle płać.

W rok po powrocie z Koziniec spadło na nas ciężkie strapienie: Mateczka nasza zachorowała bardzo, bardzo niebezpiecznie, mimo starań lekarzy-przyjaciół, było jej coraz gorzej, chwilami nawet traciła przytomność i ja znalazłam się sama na czele domu z małym braciszkiem, który swawolił, nie pojmując nieszczęścia, jakie nam grozi. Dobrzy nasi przyjaciele przesiadywali dniem i nocą, zmieniając się kolejno i ja nie opuszczałam łóżka mamy, załatwiwszy na prędce starania około gospodarstwa domowego. Jednego wieczora usnęłam na chwilę, znużona bezsennymi nocami, płaczem i zgryzotą; wtem budzi mnie lekki odgłos dzwonka i widzę, że to ksiądz nasz z Najśw. Sakramentem zbliża się do łóżka mamy. Chciano mnie właśnie oddalić na tę chwilę, ale mimo znużenia, nie mogłam mocno usnąć, teraz w rozpaczy rzuciłam się do nóg mamy naszej najdroższej. Błogosławiła nas ona, polecając Bogu sierotki swoje. Straszne to były chwile, a wracały kilkakrotnie, bo choroba trwała jeszcze zimę całą, zagrażając życiu mateczki naszej. Śród tego zaczęli pp. R. z Nowego-Stawu

*) Beaupré.

sprowadzili bardzo dobrego lekarza, dawnego ojca kolegę, który mamie wiele pomógł, przysła także wiadomość o wygranym dla nas procesie, ale to mnie wcale nie ucieszyło wśród tych okropnych niepokojów.

Braciszek mój tymczasem, odsuwany o ile możliwości z pokoju chorej, zabawiał się w rozmaity sposób: raz np. wlaższy pod krzesło doktora, pana W. *), podniósł się z taką siłą, że na plecach wysadził w powietrze i krzesło, i siedzącego na nim, co sprawiło hałas i zamieszanie; innym razem szczechnął tak łudząco na pannę Teresę, (osobę bardzo wyszukaną i nienaturalną w ruchach i mowie) wyskakując na czworakach z za drzwi, że ta omal nie zemdląła ze strachu. Nie mogłam sobie dać rady ze swawolnym braciszkiem, któremu imponowała tylko pani P.**), tak, że w czasie jej wizyty długie godziny spędzał pod fortepianem, nie mącąc niczyjego spokoju.

Mój Boże, ile to ja łez wtedy wylałam, jak się serce rozdzierało na myśl, że zostać możemy sierotami! Ale wreszcie choroba się przesiliła i powoli, powoli, mateczka nasza zaczęła wracać do zdrowia. Ciocia Kamilcia i wuj Adolf, brat mamy, odwiedzali nas w ciągu tego czasu, ale musieli odjechać i znów zostaliśmy sami; o ileż lżej jednak było teraz, gdy mama, choć osłabiona i zmieniona, uśmiechała się i przemawiała do nas po dawnemu. Czytywałam jej długimi godzinami, pisywałam listy przez nią dyktowane i nie umiem wypowiedzieć, jak mi było słodko czuć się choć trochę

*) Wermińskiego.

***) Prószyńska.

użyteczną tej drogiej mateczce, która całe życie swe dla nas poświęciła. I wtedy także doświadczyliśmy wielu dowodów dobroci ludzkiej, tak, że całe miasteczko, jakby jedna wielka rodzina, opiekowało się nami; mniej znajomi nawet przysyłali codziennie dowiadywać się o zdrowie mamy i ofiarować swoje usługi w razie potrzeby jakiej.

Ja znów dumna byłam ze swej godności gospodyni domu i starałam się o ile możliwości naśladować mamę, tak rządzoną i staranną we wszystkim. Do wiosny też piastowałam klucze, przechadzając się do spiżarni, piwnicy, na strych nawet; mieliśmy bowiem dom urządzony ze wszystkimi zapasami, niby po wiejsku. Wśród zimy a potem drugi raz na wiosnę przyjechał siostrzeniec mamy, ów Staś medalowy, teraz już student uniwersytetu kijowskiego; potem zaszły rozmaite okoliczności *), z powodu których trzeba było śpiesznie pakować się i wyjeżdżać do Kijowa, gdzie znów siostrę mamy zastaliśmy niebezpiecznie chorą.

Nagadawszy się tyle o smutnych i poważnych rzeczach, myślę, że lepiej będzie zakończyć te gawędy z czasów dzieciństwa, które, jeżeli nie laty (bo miałam ich trzynaście wtedy) to usposobieniem, miało rzeczywiście dla mnie. O dalszych kolejach za wiele byłoby mówić i... za smutno czasami, więc do widzenia i Bóg zapłać tym, co cierpliwie słuchali do końca.

K o n i e c.



*) Początki powstania w 1862 r.

121990